MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK X. Nr. 20. WARSZAWA, 18 MAJA 1930 R. CENA NUMERU 80 GR.

O PROGRAM ZACHODNI

W ZWIĄZKU ze zbliżającą się datą opróżnienia Nadrenji odbywają się w Niemczech rzeczy, które muszą być wzięte w rachubę przez politykę polską. Mamy na myśli zwrot na prawo w polityce wewnętrznej, który znalazł wyraz w zastąpieniu p. Müllera przez p. Brueninga, wzrost wydatków na armję, flotę, o czem świadczy przyjęty przez parlament etat ministerstwa wojny, budowa krążownika opancerzonego B, t. zw. program wschodni i t. d. Osiągnąwszy swe cele na zachodzie przez odzyskanie Nadrenji, zwraca się polityka niemiecka frontem ku wschodowi.

Program wschodni tej polityki jest znany, bo nie ukrywa go ani prasa niemiecka, ani politycy, ani rząd. Na miejscu pierwszem w tym programie stoi rewizja postanowień terytorjalnych traktatu wersalskiego, inaczej mówiąc rozbiór Polski. Oświadczają wprawdzie Niemcy, że cel ten zamierzają osiągnąć na „drodze pokojowej". Kto wszakże zna historję, ten wie, że w wyjątkowych tylko wypadkach można narodowi zabrać część jego terytorjum bez wyjęcia miecza z pochwy. Nie wierzą też zapewne i Niemcy w to, by mogli zawładnąć Pomorzem za zgodą Polski. Ich program „pokojowy" służy im do pokrycia programu właściwego i jedynie realnego oraz do umożliwienia propagandy, którą prowadzą wśród opinji niemieckiej i w innych krajach. Jeśli zaś Niemcy rzeczywiście dążą do przywrócenia swej przedwojennej granicy na wschodzie, to muszą się przygotować do wojny. Taki też charakter posiada cały ich program wschodni.

Przygotowania te są prowadzone, jak to już dziś widać, według szczegółowo opracowanego i konsekwentnie wykonywanego planu. Przyszła wojna jest przygotowywana: 1) dyplomatycznie na terenie międzynarodowym, 2) wojskowo przez odpowiednią organizację armji i jej zaopatrzenie, przez rozbudowę floty wojennej, przez tworzenie odpowiednich fortyfikacyj w Prusach Wschodnich i na pograniczu polsko-niemieckiem, przez budowę odpowiednich dróg bitych, wodnych i kolejowych na pograniczu i 3) gospodarczo i społecznie przez usuwanie ludności polskiej z pasów pogranicznych i zastępowanie jej ludnością niemiecką, oraz przez odpowiednie gospodarcze nastawienie prowincyj wschodnich.

Dzieje się to wszystko pod różnemi postaciami i pretekstami. Kto umie wszakże patrzeć i słuchać, ten wie, iż cała polityka niemiecka opiera się na systemie, którego główną podstawą jest dogmat, iż pierwszem zadaniem tej polityki jest nietylko przywrócenie dawnych granic na wschodzie, lecz—w następstwie—rozszerzenie terytorjum Niemiec przez przyłączenie Austrji i okręgów zamieszkałych przez Niemców w Czechosłowacji oraz rozpostarcie wpływów niemieckich nietylko w Europie środkowo-wschodniej, lecz i dalej na wschód, bądź przez ustalenie swych wpływów decydujących w Rosji, bądź też rozbicie jej przez utworzenie protektoratu niemieckiego w postaci t. zw. Ukrainy.

Ten stan rzeczy na zachodzie i to nastawienie polityki niemieckiej, nie wynikające zresztą z przypadku, lecz będące następstwem działania czynników geograficznych i historycznych, sprawiają, że naczelnem zagadnieniem polityki polskiej staje się przeciwstawienie się dążeniom niemieckim, godzącym w istnienie państwa polskiego.

Systemowi polityki niemieckiej, zwróconej frontem ku wschodowi, trzeba przeciwstawić system polityki polskiej, zwróconej frontem ku zachodowi. Programowi wschodniemu Niemiec trzeba przeciwstawić program zachodni Polski.

Program ten obejmować musi: 1) zagadnienia z dziedziny polityki zagranicznej, 3) zagadnienia z dziedziny wojskowej i 3) zagadnienia z dziedziny społecznej i gospodarczej. O systemie polityki zagranicznej pisaliśmy już wielokrotnie na tem miejscu[1]), powiemy więc tylko krótko, że polityka ta powinna opierać się na fakcie, iż bezpośrednie i najbliższe niebezpieczeństwa, jakie Polsce grożą, wynikają z dążeń rozbiorczych Niemiec; że — dalej — przed tem niebezpieczeństwem nie obronią nas żadne gwarancje międzynarodowe i pakty uroczyste, jeśli nie będziemy silni i jeśli nie będziemy związani sojuszami z państwami silnemi i mającemi takie same, jak my, interesy.

Nie posiadając odpowiedniej kompetencji w sprawach wojskowych i nie mogąc dla zrozumiałych powodów wdawać się w szczegóły, mogę tylko powiedzieć, że kierownictwo armji polskiej musi wziąć za punkt wyjścia swej pracy fakt, że — jeśli grozi wojna w przyszłości — to będzie to wojna wywołana przez Niemcy i w której Niemcy będą czynnikiem głównym i decydującym. Zarówno teoretyczne opracowanie możliwości wojennych, jak organizacja armji, muszą być przystosowane do tego faktu, wynikającego z politycznych przewidywań. Zbrojenia Niemiec na lądzie i na morzu muszą wpływać decydująco na stan zbrojeń polskich na tych dwóch terenach. Otwarta nasza granica zachodnia musi być zabezpieczona przez odpowiedni system fortyfikacyj, idących od morza aż do pogranicza Czechosłowacji. Wreszcie musimy posiadać system dróg bitych, wodnych i kolejowych, przystosowany do potrzeb przyszłej wojny obronnej na pograniczu zachodniem.

[1]) Patrz artykuły zebrane w broszurze „Niemcy i Polska“, wydanej nakładem „Myśli Narodowej“.

Co się tyczy spraw społecznych i gospodarczych, to pas graniczny na zachodzie musi mieć ludność bezwzględnie pewną, a więc polską (całe Pomorze leży w obrębie tego pasa), a stan gospodarczy tej ludności powinien być otoczony szczególną troskliwością. Nie potrzebujemy chyba dodawać, że z powyższego wynika, iż cała polityka gospodarcza i społeczna państwa polskiego musi być dostosowana do tych zadań, które państwu narzuca konieczność zabezpieczenia przedewszystkiem swego bytu, a więc konieczność przeciwstawienia się dążeniom politycznym Niemiec na wschodzie.

Oto co rozumiemy pod programem zachodnim. Powinna go była Polska posiadać od początku swego odrodzenia państwowego. Dziś, gdy jesteśmy w przededniu rozpoczęcia nowego okresu w polityce europejskiej na skutek ewakuacji Nadrenji i odbudowy sił wewnętrznych Niemiec, nie mamy już ani chwili czasu do stracenia. Program zachodni nie tylko musi być wypracowany, lecz musi być wcielony w życie. Opinja publiczna może się go jedynie domagać, przeprowadzić go może tylko rząd. Oto dlaczego jest dziś tak pilnem zagadnienie posiadania w Polsce takiego rządu, któryby rozumiał konieczność opracowania takiego programu zachodniego i umiał go wcielić w życie. Realizacja tego programu powinna znaleźć wyraz w najbliższym budżecie naszym, nietylko w etacie ministerstwa spraw wojskowych (fortyfikacje i marynarka wojenna), lecz także w etatach szeregu innych ministerstw. Do zakresu wykonania tego programu należy też nieratyfikowanie umów, zawartych z Niemcami w dniu 31 października r. 1929, które są przeciw temu programowi kardynalnem wykroczeniem.

Chodzi tu nietylko o rozwój, lecz wprost o istnienie państwa polskiego; dlatego to „programowi zachodniemu“ muszą być podporządkowane wszystkie inne zagadnienia polityki wewnętrznej i zewnętrznej Polski.

STANISŁAW KOZICKI

FOCH O BEZPIECZENSTWIE EUROPY

PRZEMAWIAJĄC na zjeździe nadreńskiej partji centrowej w Kolonji, minister terenów okupowanych, Wirth oświadczył niedawno między innemi: „Represje w odniesieniu do Niemiec, zawarte w Traktacie Wersalskim, t. zw. sankcje, już nie istnieją. Odpowiednie paragrafy Traktatu Wersalskiego wygasły i zostały wymazane. Zaś represje, które ustawodawstwo międzynarodowe uznaje za same przez się zrozumiałe, zostały ograniczone. Obecnie Niemcy mogą oświadczyć Lidze Narodów, że sankcje zastosowane przez Francję uważają za akcję wrogą“. Oświadczenie to, nacechowane właściwą Niemcom butą, spotęgowaną w danym wypadku świadomością osiągnięcia upragnionego celu — ewakuacji Nadrenji, uprzytomnia nam jasno i niezbicie, że odwróciła się karta dziejów, zamykająca pierwsze dziesięciolecie historji powojennej Europy.

„Traktat Wersalski wygasł” — oświadczają Niemcy. Wygasły postanowienia, dotyczące sankcyj a wielka dziedzina stosunków międzynarodowych, politycznych i gospodarczych, t. zw. problem odszkodowań, znalazła rozwiązanie w układach haskich, mających być ostatecznem „zlikwidowaniem“ wojny i jej następstw. Skoro przebiegniemy myślą dzieje tego dziesięciolecia, które upłynęło od chwili podpisania historycznego aktu w sali zwierciadlanej w Wersalu, to przy najbardziej nawet pobież-

nej analizie wypadków okresu powojennego, zdamy sobie wyraźnie sprawę, jak szybko wartki prąd życia zmuszał do szukania nowych, nieprzewidzianych w traktacie rozstrzygnięć, a wytężona wytrwałość zwyciężonych zdołała w znacznej mierze zatrzeć to piętno, jakie na układzie sił współczesnej Europy wycisnęła wojna światowa. Dlaczego tak się stało? Czy przypisać to należy jedynie wysiłkom powojennych Niemiec, które znalazłszy w osobie Stresemanna „żelaznego ministra", dzięki jego talentowi dyplomatycznemu i nieubłaganej konsekwencji odzyskały już niemal swe mocarstwowe w Europie stanowisko? Złożył się na to niewątpliwie cały szereg przyczyn. Nie będziemy ich tu szczegółowo omawiać. Ograniczymy się do jednej, może najbardziej zasadniczej, t. j. do samego traktatu, którego budowa, zbyt chwiejna w najistotniejszej części, dotyczącej sankcyj i bezpieczeństwa, ułatwiła zwyciężonym ich pracę nad podkopywaniem stanu rzeczy, wytworzonego przez traktat, mający być niejako „wielką kartą" powojennej Europy.

Dużo się o tem mówiło i pisało. Znane są powszechnie intrygi, jakiemi masonerja, międzynarodowe żydowstwo, pokątne a silne wpływy niemieckie i inne czynniki uniemożliwiły wyzyskanie zwycięstwa w sposób, któryby zagwarantował, na czas dłuższy przynajmniej, pokój na kontynencie. Tem niemniej wydaje się nam nie od rzeczy przedstawić pokrótce to zagadnienie w ujęciu jednego z największych niewątpliwie mężów naszej doby, zmarłego przed rokiem marszałka Focha. Asumpt do tego daje wydane ostatnio w Paryżu dzieło p. t. *„Le Mémorial de Foch. — Mes Entretiens avec le Maréchal, per Raymond Recouly"* [1]) Wybitny dziennikarz francuski, długoletni redaktor polityki zagranicznej w *„Figaro"*, autor szeregu ciekawych monografij z dziedziny polityki międzynarodowej, a zaufany powiernik Focha, ze stenograficzną ścisłością podaje w dużym tomie najciekawsze z rozmów, jakie miał z marszałkiem w okresie 1919 — 1928 r. Przejrzane i zaaprobowane przez Focha, wydawnictwo to ma niemal wartość własnoręcznych pamiętników. *„Ce livre a une raison d'être, une seule: montrer Foch tel qu'il est, le faire parler comme effectivement il parla. Mon devoir est de ne rien retrancher, rien adoucir de ce que le Maréchal m'a dit"*, oświadcza w przedmowie p. Recouly.

Dziś, gdy Francja wyrzekła się ostatnich realnych gwarancyj, jakie dawał jej Traktat Wersalski, gdy większość jej obywateli z trwogą spogląda na granicę wschodnią, której bronią dziś tylko papierowe klauzule Locarna, gdy idylliści pokoju, z Boncour'em i Herriot'em na czele, deklamując pięknie brzmiące słówko *„rapprochement"*, nie bez pewnego niepokoju jednak podnoszą czasami starą francuską koncepcję, przez Leona Bourgeois swego czasu sformułowaną — międzynarodowej siły zbrojnej, gdy nie przestaje się mówić o zagadnieniu bezpieczeństwa, coraz to się bardziej odeń oddalając, w obliczu tego wszystkiego szczególnej nabiera aktualności serja rozdziałów cytowanego *„Mémorial"* p. t. „D r a m a t T r a k t a t u P o k o j u".

Trudno opanować wzruszenie czytając te karty, gdzie z każdego słowa przebija głęboka troska o losy Francji i Europy, gdzie wielki żołnierz, „ojciec zwycięstwa" mówi szczerze, prosto, ale jakże wymowne o owych potężnych zmaganiach z tymi, którzy owoców tego zwycięstwa wyzyskać nie chcieli, czy nie umieli, którzy „to zwycięstwo sabotowali". Foch jest przekonany, że metody, do których się oni uciekają, są złe, że rozstrzygnięcia, jakie znajdują, są tylko pozorne, że Francja zwycięska, po wszystkich ofiarach i stratach pozostaje bez dwóch rzeczy, do których ma formalne i święte prawo: odszkodowań i bezpieczeństwa. To też z całą swą energją, całą inteligencją występuje przeciw tendencjom, które — jego zdaniem — godzą w istotne interesy Francji, uniemożliwiając zarazem zapewnienie bezpieczeństwa całej Europie.

Foch nie jest tylko genjalnym wodzem. To bystry polityk, którego wrodzona, niezwykle wybitna inteligencja, świetna znajomość historji i wypływające z niej głębokie zrozumienie niezmiennych praw dziejowych, pozwalają mu widzieć we właściwem świetle wartość pomysłów współczesnych polityków i wysuwać własne koncepcje, uderzające bezkompromisowością ujęcia z punktu widzenia sięgających w daleką przyszłość interesów Francji i Europy.

Taką to koncepcją, śmiałą i bezkompromisową, jest jego plan rozwiązania kwestji bezpieczeństwa na zachodniej granicy Niemiec. Już na kilka tygodni przed zawieszeniem broni zapytuje on Clemenceau, jakie są zamiary rządu w stosunku do t. zw. polityki nadreńskiej. Zdaje sobie bowiem sprawę, że od warunków zawieszenia broni, które chciałby zawrzeć z uwzględnieniem tych zamiarów, zależy w dużej mierze sam pokój. Nie otrzymuje jednak żadnych dyrektyw. Clemenceau prowadził swą politykę, nie oglądając się na niczyje rady

Rozpoczyna się konferencja pokojowa. Foch. poświęca wszystkie siły, aby przeforsować swą tezę, według której jedyną granicą, dającą Francji i Belgji, a zatem i Europie, gwarancję bezpieczeństwa, jest Ren. Rząd francuski decyduje się początkowo na przyjęcie tej tezy. Na polecenie Clemenceau, Tardieu opracowuje memorjał dla państw sprzymierzonych. Memorjał stwierdza, że ani rozbrojenie Niemiec, ani Liga Narodów nie są w stanie zapewnić Francji bezpieczeństwa. Konieczne jest, aby zachodnią granicą Niemiec był Ren. Mostów na Renie winny strzec wojska sprzymierzone. Nadrenja powinna stanowić kraj samodzielny, rodzaj państwa buforowego między Francją a Niemcami. Dwa załączniki do memorjału precyzują ustrój polityczny przyszłego państwa nadreńskiego oraz omawiają sytuację gospodarczą, jakaby ze stworzenia takiego państwa wynikła.

Amerykanie nie sprzeciwiają się zasadniczo takiemu rozstrzygnięciu. Opozycja wychodzi od Anglików, którzy wierni swej tradycyjnej polityce utrzymywania rownowagi na kontynencie, obawiając się przewagi Francji, porozumiewają się z Amerykanami i wraz z nimi proponują jej zawarcie traktatu przymierza.

Z tą chwilą Clemenceau i cały rząd, z wyjątkiem prezydenta Poincaré'go, zostają straceni dla koncepcji Focha. Ograniczają odtąd swe wysiłki do uzyskania prowizorycznej okupacji Nadrenji.

---

[1]) Publikowane swego czasu wyjątki z tej książki przed jej wydaniem obudziły we Francji zrozumiałe zainteresowanie i wywołały żywą polemikę, zwłaszcza w związku z krytycznem przedstawieniem przez Focha taktyki Clemenceau podczas konferencji pokojowej. Wydane ostatnio pamiętniki Clemenceau, któremi zajmiemy się w jednym z następnych № № „Myśli Narodowej", nadają specjalną aktualność pamiętnikom Focha.

Foch nie rezygnuje jednak z przeprowadzenia swej tezy. Rozpoczyna walkę z Clemenceau, który usiłuje uniemożliwić mu wpływanie na decyzje konferencji. Mimo to, uzyskuje audjencję u szefów rządów sprzymierzonych, aby przedstawić im swój pogląd na konieczność „poważnej granicy wojskowej dla państw Europy zachodniej“. Bierze udział w posiedzeniu Rady Ministrów z udziałem Poincaré'go i delegatów Francji na konferencję. Wyjaśnia problematyczną skuteczność przymierza z Anglją i Ameryką, które, w okresie krótszym od roku, nie będą nigdy mogły wystawić potężnej armji. Jedyną gwarancją jest barjera Renu. Już marszałek Moltke przywiązywał do niej wielką wagę, stwierdzając, że spór między Paryżem i Berlinem rozstrzyga się nad Renem; ten z przeciwników, który opanował rzekę, może być pewny wyższości.

Członkowie Rady Ministrów wypowiadają się jednak wszyscy za przymierzem. Autorytet Clemenceau przeważył. Prezydent Republiki, acz tego samego, co i Foch zdania, nie wypowiedział swej opinji. Czemże jest zresztą wobec potężnego szefa rządu skrępowany konstytucją mieszkaniec pałacu elizejskiego?

Raz jeszcze wyłożył Foch swój punkt widzenia, tym razem na plenarnej sesji konferencji pokojowej, dn. 6 maja, już po przybyciu do Paryża delegacji niemieckiej. Zapóźno już jednak było na zmianę klauzul tak istotnych, jak klauzule wojskowe. Ten, który armje sprzymierzone poprowadził do zwycięstwa w nadziei, że zapoczątkuje ono nową erę powszechnego bezpieczeństwa, nie zdołał zapobiec podpisaniu traktatu, który — jego zdaniem — *„était plein de tares, de vices originels qui devaient produire, tôt ou tard, leurs effets pernicieux“*.

Czy Foch miał podstawy, wysuwając swój projekt granicy wojskowej? Czy też były to tylko zamiary imperjalistyczne zaciętego militarysty i germanofoba, za jakiego uważają go Niemcy? Historja ubiegłego dziesięciolecia wykazała dostatecznie całe znaczenie tezy Focha. Bo czyż rozbrojenie Niemiec np. stanowi dostateczną gwarancję? Czy nie znajdą one zawsze środków odpowiednich, skoro zechcą wojny? A zresztą słabość przeciwnika nie stwarza naszej siły. Taką siłę dać może jedynie własna znaczna pozycja. Tą pozycją dla Francji są mosty na Renie. Przy demilitaryzacji nawet pięćdziesięciokilometrowej strefy na prawym brzegu, Niemców dzieli od nich 50 km., Francję zaś, po ewakuacji Nadrenji — 150. Te cyfry są zbyt wymowne.

A jeśli sięgniemy do historji, to i tam znajdziemy potwierdzenie znaczenia koncepcji Focha. Bo problem bezpieczeństwa nie jest bynajmniej problemem nowym. Wystarczy cofnąć się o lat sto, by stwierdzić, że w roku 1815 Anglja, Austrja, Prusy, Rosja szukały tego samego, co Francja w r. 1919 — bezpieczeństwa. Jakże ten problem rozwiązały? Ze względu na interesy angielskie tworzy się państwo buforowe na północnej granicy Francji, przyłączając prowincje belgijskie do Holandji, Prusy i Austrja organizują obronę na linji Renu. Prusy zajmują Koblencję, Austrja Moguncję, jako fortece strzegące biegu Renu. Następnie postanawiają zajęcie Landau i Luxemburga. A wszak Moguncja należy do W. Księstwa Heskiego, Luxemburg zaś zależy od Holandji. Na to się nie zwraca uwagi. Bo jak mówiono w tym czasie: *„les convenances de l'Europe sont le droit“*. I system ten trwa przez lat pięćdziesiąt. A choć wymierzony jest przeciw Francji, Francja nie protestuje, przystosowuje się do niego.

Gdyby twórcy Traktatu Wersalskiego bardziej liczyli się z psychiką narodu niemieckiego i jego pragnieniem odwetu, z pewnością stan Europy dzisiejszej nie nasuwałby tyle niepokoju, a po 10 latach istnienia traktatu, który miał być na długo statutem politycznym tej Europy, nie bylibyśmy świadkami tak bezceremonjalnego kruszenia jego podstaw, jak się to dziś robi wytrwale i systematycznie.

I na innym odcinku, w innej części traktatu, znamy podobną rozbieżność między tem, czego żądali ludzie, jasno widzący przyszłość, a tem, co sformułował kompromis międzynarodowy, nie licząc się z komplikacjami, jakie niesie życie. Mamy na myśli równie śmiałą, jak plan Focha, tezę Romana Dmowskiego o zachodnich granicach Polski, obejmujących Prusy Wschodnie, wzamian za dopuszczenie t. zw. „*Anschluss*'u“. Wielki umysł Dmowskiego nie mógł nie przewidywać tego wszystkiego, co w formie t. zw. propagandy antykorytarzowej podważa podwaliny pokoju w Europie.

Niema już dziś chyba w Polsce rozsądnych ludzi, którychby mamił złudny duch Locarna i którzyby widzieli w paktach z 1926 r. skuteczną obronę naszego stanu posiadania na Zachodzie. A choć Naród polski nie obawia się zakusów niemieckich, bo potrafi im przeciwstawić zdecydowaną wolę bytu niepodległego, jaki możliwy jest dla nas w granicach przynajmniej obecnych, tem niemniej w głębokiem przeświadczeniu, że bezpieczeństwo nad Wisłą i Renem w ścisłym ze sobą pozostaje związku, musimy szczerze żałować, że nie umiano bezpieczeństwa Europy zapewnić skuteczniej, niż przez niefortunny protokuł genewski, Locarno, Thoiry, groteskę rozbrojeniową, czy nierealne koncepcje „paneuropejskie“...

P.

IDEOWE PODSTAWY PRACY SPOŁECZNEJ

(Dokończenie)

NA pytanie, czy możemy oczekiwać realizacji ideologji chrześcijańskiej w życiu, odpowiem, że rozumiejąc, iż nie jest to możliwe w krótkim przeciągu czasu, wierzę jednak, że ten cel nie jest bynajmniej tak bardzo utopijnym, jak się powszechnie utrzymuje.

Pozwolę sobie przedewszystkiem zaznaczyć, że dotychczasowe dążenia do t. zw. praktycznych celów metodami praktycznemi, zakreślonemi w teorji i praktyce przez praktycznych myślicieli i mężów stanu wieku XIX i XX, czy to obozu liberalnego, czy socjalistycznego, wydały dziwne i zgoła nieoczekiwane owoce.

Zbyt dobrze są one nam znane, spowodowały przecież obok wojny światowej, obecny chaos i rozprzężenie stosunków i pojęć, żebyśmy się tutaj potrzebowali nad niemi rozwodzić.

Wspominam o tem jednak dlatego, ponieważ

przez kilka generacyj uczono i powtarzano ustawicznie, że tylko one odpowiadają potrzebom ludzkości, mogą zapewnić ład, dobrobyt i t. d., jednem słowem stworzyć raj na ziemi. Jako ich antytezę przedstawiano równocześnie ideologję chrześcijańską. Utarło się też w końcu przeświadczenie, oparte na bezkrytycznem powtarzaniu, że chrześcijaństwo jest utopijne, a natomiast wszystkie inne systemy, będące wynikiem pracy poważnych i uczonych i mężów stanu, — realne.

Przekonanie zaś to wżarło się tak głęboko, że kiedy po roku 1918 okazało się, iż jest inaczej, poczęto szukać i znajdowano i znajduje się coraz to nowe systemy, którymi usiłuje się położyć kres ustawicznie odczuwanym dolegliwościom. Eksperymentowanie na żywem ciele narodów trwa od lat szeregu, nie przynosząc poza chwilowemi pozorami poprawy, żadnej istotnej zmiany na lepsze.

I jest rzeczą znamienną, że jeden z najgenjalniejszych reformatorów doby współczesnej, Mussolini, po dokonaniu rzeczywiście ogromu pracy, doszedł do przekonania, że utrwalić ją może tylko powrót do etyki chrześcijańskiej.

Brak miejsca nie pozwala nam niestety rozważać powodów, które doprowadziły dyktatora Italji do tego przekonania. Nie możemy również zastanawiać się nad tem, jakie ewolucje musiałby jeszcze przejść system faszystowski, by w całej pełni chrystjanizm mógł utrwalić pomyślne wyniki jego wysiłków. Sam fakt jednak, że właśnie Mussolini uważał za wskazane nawrócić do nauki Chrystusa, świadczy, że nie jest ona może tak utopijną i nieżyciową, jak nieraz można czytać i słyszeć.

Ale czyż musimy sięgać do przykładów zagranicznych, szukać nauki u obcych?

Przecież stan obecny, jaki ludzkość przeżywa, przewidział już jasno, obserwując zaledwie pierwszą fazę rozwoju, której ostatnia nam dostała się w udziale, Krasiński w „Nieboskiej Komedji“.

Po zaciętej walce ginie przedewszystkiem świat, oparty na kłamstwie i wyzysku, powierzchownie, słowami wyznający Chrystusa, w rzeczywistości jednak uważający Jego naukę za dogodny środek trzymania w karbach mas słabszych społecznie. Wśród rozpętanych najniższych instynktów, szału, zaspokajając na jedną chwilę uczucie zemsty mas, zwycięża obóz Pankracego. Zburzywszy jednak stary porządek, dokonawszy dzieła zniszczenia, triumfująca rewolucja staje bezradna, brak jej elementów konstruktywnych, nie wypływających nigdy z nienawiści. Ostatecznie pada ona w pył w osobie swego wodza, wobec świetlanej zjawy Zbawiciela, z wyznaniem: *Galilaee vicisti*, zwyciężyłeś Galilejczyku.

Zrozumienie wielkiej, twórczej wartości i — nie waham się powiedzieć — wiecznej wartości społecznej ideologji Chrystusa, która niejednokrotnie, chociaż nawet nigdy nie była jeszcze w pełni urzeczywistniona, potrafiła wywieść ludzkość z poniżenia i chaosu, otwiera przed nami drogę pracy oświatowej i społecznej. Bogata treścią, obejmująca jednem, wielkiem, rozumnem i miłosnem tchnieniem wielkich i małych, proste i skomplikowane warunki społecznego współżycia ludzi, określa nauka Chrystusowa jasno zasady życia indywidualnego i zbiorowego. Stanowi wszechstronną, a nie wahajmy się wyznać, po bankructwie wszystkich ideologij opartych w zupełności, lub częściowo na materjalistycznym światopoglądzie, jedyną ostoję, która ostatecznie zawsze zwycięsko się opiera powtarzanym z różnych stron atakom.

Pozorne jej przegrane okazują się z biegiem czasu stale „tą przegraną, — której cel daleki, a która w końcu wygrywa na wieki“.

Naturalnie, zrozumienie, że tak jest, stwierdzenie, iż posiadamy w niej silne podstawy, na których można śmiało budować przyszłość, nakłada na nas poważne obowiązki. Przedewszystkiem należy ją dokładnie poznać, pojąć jej treść, przemyśleć i przetrawić ją w sobie. Nic bowiem nie jest, że przytoczę tu słowa Leona XIII, *„homini christiano turpius, quam clandicare in officio propter ignariam“*.

Samo jednak nauczenie się nie wystarcza. Trzeba ją również ukochać, bo tylko poznanie, złączone z miłością, czyni człowieka zdolnym do tej wielkiej pracy i walki, która jest nieunikniona i niezbędna.

Może niejednemu się wyda, że przywiązywanie tak wielkiej wagi do miłości jest rzeczą dziwną. Sądzę jednak, że krótkie bodaj zastanowienie rozwieje wszelkie wątpliwości i pozwoli ocenić właściwe znaczenie i głęboką prawdę zawartą w słowach św. Pawła: „chociażbym miał proroctwo i wiedział wszystkie tajemnice i wszelką naukę i miałbym wszystką wiarę, tak iżbym góry przenosił, a miłościbym nie miał: nic nie jestem... I choćbym wszystkie majętności moje rozdał na żywność ubogich i choćbym wydał ciało moje tak, iżbym gorzał, a miłościbym nie miał, nic mi nie pomoże... Miłość nigdy nie ginie, choć proroctwa zniszczeją, chociaż języki ustaną, chociaż umiejętność będzie zepsowaną“.

Należy pamiętać, że chwila, w której św. Paweł pisał te słowa i w swojej taktyce propagandowej je urzeczywistniał, była podobnie trudną jak obecna i pod niejednym względem do niej podobną.

Zapoznanie się też z taktyką, metodą postępowania pierwszych głosicieli wiary i ich najbliższych następców jest rzeczą niemniej ważną, aniżeli zrozumienie i ukochanie samej ideologji.

Nie zapominajmy, że zadanie apostołów i późniejszych generacyj wodzów chrześcijaństwa było niezmiernie trudne i oceniając je pod kątem widzenia suchego, obliczającego wszystko rozumu beznadziejne.

Z jednej strony widzimy potężne i bogate państwo i społeczeństwo, z drugiej biednych, nikomu nieznanych ludzi, nie posiadających zgoła środków na koszta propagandy. A jednak w ciągu krótkiego czasu ci ludzie, apelując nie do niskich instynktów, jak tylu innych reformatorów, lecz, przeciwnie, starając się wydobywać i rozwijać drzemiące w duszach szlachetne pierwiastki, osiągają wyniki, i to trwałe wyniki, któremi nie mogą zachwiać żadne przeciwności, żadne najsroższe nawet prześladowania.

Cały wysiłek olbrzymiego i potężnego aparatu państwowego i społecznego łamie się w walce z nową, po raz pierwszy w dziejach stosowaną taktyką miłości.

I doprawdy nie można dość często i stanowczo przypominać sposobu postępowania tych największych bohaterów pracy i ducha. Nie można dość często przypominać tej wielkiej prawdy, że dobór środków nie jest rzeczą obojętną, że roz-

strzyga on ostatecznie we wszelkiej walce i pracy ideowej.

Można naturalnie, posługując się inną metodą, osiągać we względnie krótkim czasie pozory powodzenia, nieraz nawet bardzo błyszczące i łudzące ludzi. Ale doświadczenie uczy, że nie będą one nigdy naprawdę trwałe.

Bijące w oczy powodzenia, wywołujące zachwyt mas, jeżeli zostały osiągnięte z użyciem środków, niezgodnych z przewodnią ideologją muszą ją ostatecznie, zwykle nawet w niezmiernie krótkim czasie skazić, a tem samem doprowadzić do klęski!

Ponownie muszę się odwołać do Krasińskiego, rozumiejącego z rzadką jasnością istotę chrześcijaństwa i jego taktykę. Tym, którzy starają się chociażby w najszlachetniejszym zamiarze osiągać idealne cele środkami, pozostającymi z niemi w sprzeczności, rzuca słowa przestrogi:

„Kto chce iskier z czarta kuźni,
By przepalić czarta moc,
Ten świat w gorszą wpycha moc,
Ten mądrości wiecznej bluźni.
Choćby nie był Moskal rodem,
Ten Moskalem stał się z ducha,
Ten mongolskich natchnień słucha —
Moskwa—piekło, mu narodem".

Zapyta ktoś jednak może, czyż ta stara taktyka, bardzo zresztą szlachetna i która rzeczywiście doprowadziła chrześcijaństwo do zwycięstwa, posiada jeszcze i dzisiaj, tysiąc dziewięćset lat później, dawną wartość?

Żyjemy przecież w epoce rozwoju i postępu. Technika wzniosła się na nieznane dawniej wyżyny. Posiadamy samochody i samoloty, radjo, łodzie podwodne i gazy trujące. To wszystko zmienia chyba podstawy metod działania?

I oto na to pytanie lata powojenne udzieliły nam jasnej i praktycznej odpowiedzi i to tak jasnej, jakiej doprawdy trudno było się spodziewać.

I jeżeli kiedy możemy mówić o objawieniu przez Opatrzność ludziom dobrej woli, że te ideały i taktyka nie są ułudne, to przykładem tego potężny ruch wyzwoleńczy hinduski, prowadzony przez Mahandras Karamhand Gandhi, Mahatmę Gandhi'ego

Ten ruch, którego kierownictwo objął Gandhi z końcem roku 1919, aby jak, sam oświadczył, ochronić go przed posługiwaniem się gwałtem i środkami nieetycznemi, wywołał zrazu śród obecnych władców Indyj uśmiech politowania.

Nie wierzono oczywiście w możliwość naprawdę groźnego ruchu, gdyż w epoce wojny światowej i szerzenia się bolszewizmu przestano przypuszczać, zwłaszcza w sferach inteligentnych i praktycznych polityków, by możliwe były zwalczanie siły materjalnej, siłą ducha. Że kiedyś, bardzo dawno, podbój potężnego imperjum rzymskiego odbywał się tym sposobem, nad tem się nie zastanawiano.

Gandhi ocenił należycie odwieczną wyższość starych ideałów Chrystusowych nad temi, którym hołduje dumna Europa. Wychowany zarówno w kulturze Zachodu, jak i Wschodu, natura głęboko religijna, życiem swojem przypominający św. Franciszka z Assyżu, Gandhi, nie będąc wprawdzie chrześcijaninem, oświadczył jednak kilkakrotnie, że dopiero zapoznanie się z Nowym Testamentem pouczyło go, jak stary, zawarty w Wedach i Upaniszadach ideał społeczny może być urzeczywistniony i to tylko środkami zgodnemi z celem, gdyż cel nie uświeca środków.

Kiedy w r. 1920 w rozmowie z pewnym pastorem anglikańskim Gandhi zaznaczył, że właśnie Nowy Testament był mu drogowskazem, usłyszał zdziwione pytanie: „Jak to, czy nie posiadał go pan dzięki lekturze ksiąg hinduskich?" „Nie, odparł Gandhi. Znałem i podziwiałem poprzednio Bhagawad Gitę, lecz dopiero Nowy Testament obudził we mnie świadomość znaczenia biernego zachowania się. Szalałem z radości, czytając go".

Celem uniknięcia nieporozumienia pospieszam dodać, że z dalszych słów Gandhi'ego wynika, że pod tem określeniem rozumiał słynne niesprzeciwianie się złu jego własną bronią.

Nie będziemy i nie możemy w tej chwili omawiać szczegółów tej prowadzonej przez Gandhi'ego walki, która, jak wiadomo, osiągnęła bardzo poważne wyniki pozytywne, a to tembardziej, że jest ona należycie przedstawiona w literaturze, zwłaszcza zaś w istniejącem i w polskim przekładzie dziele Fueloep-Millera p. t. „Lenin i Gandhi".

Reasumują przedstawione wyżej rozważania, z natury rzeczy tylko szkicujące, ale nie wyczerpujące przedmiotu, widzimy, że obserwując kryzys współczesny nie mamy powodu iść za głosami pesymistów, upatrującymi w nim bóle towarzyszące agonji.

Przyznając, że otacza nas w tej chwili wiele objawów złych, zdrowemu rozwojowi życia szkodliwych, równocześnie stwierdzamy, iż dalsza kolej losów zależy nie od jakiegoś nieosobowego i nieuniknionego fatum, lecz od wyznawanej przez nas ideologji i od naszej pracy, zmierzającej do jej realizacji.

Ostatecznie bowiem przyszłość zawisła jest od treści życia. Tę zaś zawsze stanowiły i stanowią idee, któremi przeniknięte są warstwy przodujące oświatą, a następnie rzeszy mniej wykształconych bliźnich.

Zrozumienie tej prawdy wykreśla nam naszą drogę.

Pełną treść w szlachetnem znaczeniu i najwyższem znaczeniu, zarówno gdy chodzi o życie indywidualne, jak i społeczne posiadamy w Nauce Chrystusa.

Uświadomienie sobie i innym jej prawd i ich stosunku do bieżących potrzeb społecznych jest zadaniem pracy oświatowej. Stopniowe realizowanie jej w życiu musi być przedmiotem pracy społecznej.

Że do tego potrzeba w obliczu rozwydrzenia i panujących kłamstw wiele miłości, zapału, wytrwałości, rozumu i odwagi jest rzeczą jasną. Dodam nawet, że potrzeba większej cnoty odwagi, aniżeli jej wymagała potrzeba wojenna.

Dopiero jednak podjęcie i konsekwentne prowadzenie tej ciężkiej pracy, upoważni nas bez przesady do powtarzania z naszym wielkim poetą kresowym Ujejskim:

„Wierzymy, Panie! O, wierzymy mocno,
Żeś nas nad wszystkich upodobał sobie,
Żeś nas zapalił jak pochodnię nocną,
By całą ludzkość prowadzić ku Tobie...
Wierzymy, Panie, żeśmy syny światła,
Że nasze wrogi są dziećmi szatana,
Że on im stoi na czele i matła
Twą świętą wiarę, co niepokalana
Z triumfem skończy z nim swe bojowanie".

LEON HALBAN

DRAMAT O MAKRYNIE MIECZYSŁAWSKIEJ

BYŁ taki czas, niezbyt jeszcze dawny, gdy cała niemal literatura polska stała pod znakiem Słowackiego. Nazwisko poety, tytuły jego dzieł i cytaty jego wierszy czy zdań były wciąż na ustach i pod piórem ludzi, interesujących się sztuką i piśmiennictwem, i to zarówno uczonych jak artystów, ba, nawet polityków i pospolitych „zjadaczy chleba“. Po wojnie światowej, po uzyskaniu niepodległości wymarzonej przez tyle pokoleń, owa „siła fatalna“ Słowackiego zaczęła słabnąć. Jeszcze wychodzą monumentalne o nim prace, jeszcze rodzą się kopy przyczynków, często wartościowych, jeszcze budzi zaciekawienie niezbadana dotąd w zupełności myśl jego filozoficzna z okresu mistycznego — jednakże na literaturę, na nowe pokolenie poetyckie nie oddziaływa już poezja genjalnego poety w tym stopniu, co przedtem. Szablonowo-oficjalny pogrzeb jego zwłok stał się poczęści i pogrzebem jego pamięci wśród szerszych warstw inteligencji; do pogrzebu tego walnie przyczyniły się stosy różnych zamówionych na ową uroczystość wierszy i utworów okolicznościowych, w których różni powołani i niepowołani ludkowie bądź poufalili się z poetą, bądź na jego konto wyczyniali różne figlasy słowne, wreszcie cofali się do tradycji panegiryków w. XVIII-go. Już te płody wykazały, że w pokoleniu poetyckiem obecnem mniejsze jest ukochanie i zrozumienie genjalnej poezji Słowackiego, mniejsze przejęcie się jej treścią i formą.

Do epigonów tego pokolenia poetyckiego, które wojowało pod znakami autora „Balladyny“, należy samotnik-poeta, Antoni Waśkowski. Na widownię literatury wystąpił przed laty dwudziestoma, w chwili, gdy twórczość Młodej Polski dobiegała schyłku, gdy jednakże obowiązywały jej tradycje, jej hasła, czasem jej konwenans — nie staczano już walk zawziętych, nie zdobywano nowych pozycyj ani nie broniono starych, panowało *otium*, w którem z całą swobodą rozkoszowano się osiągniętemi już zdobyczami w zakresie poetyckich możliwości. Do bojowego zastępu literackiego Waśkowski nie przystąpił — tworzył w spokoju i umiarkowaniu, dróg nowych nie torując ani ich „na upartego“ nie wyszukując. Nie dostosowywał się też — ani wtedy ani nigdy potem — do modnych w danej chwili prądów, gustów czy raczej draperyj poetyckich: szedł zawsze tą drogą, która jemu samemu piękna się wydała, którą sam naprawdę umiłował. W każdym razie nie bez znaczenia dla jego twórczości było to, że jej pierwociny pojawiły się w r. 1909, roku wielkich obchodów jubileuszowych ku czci Słowackiego. Tej młodzieńczej niejako pamiątce pozostał Waśkowski wierny po dziś dzień. Widać to we wszystkich niemal tomach jego utworów — a tomów tych jest kilkanaście.

Tematem zbliżył się do Słowackiego Waśkowski i w ostatnio wydanym swym utworze—w dramacie zatytułowanym „Makryna“ [1]). Jest w pośmiertnej puściźnie Słowackiego utwór przepiękny — jeden z najpiękniejszych, a może ze wszystkich najbardziej uderzający prostotą swego wysłowienia i tragizmem swej treści — noszący tytuł „Rozmowa z Matką Makryną Mieczysławską”. Utwór ten stanowi jakby ciąg dalszy „Anhellego“ i równy jest „Anhellemu” wartością literacką, lecz góruje nad nim szczerością i bezpośredniością uczuć. Ból narodu polskiego w okresie martyrologji wypowiedział się równie potężnie i wzruszająco jedynie w „Dziadach“ drezdeńskich Mickiewicza i w utworach Żeromskiego:

> „A ten krzyk taką wielką był rozpaczą,
> że przy nim jednym — tamte tylko płaczą...“

Przez wiele dziesiątków lat żyła w narodzie wieść o męczeństwie matki Makryny Mieczysławskiej, a postać męczennicy urastała niemal do znaczenia symbolu, do rozmiarów jakby wielkiej ofiary, składanej przez jednostkę imieniem całego narodu, jakiejś nieomal prorokini czy obronicielki ludu swojego. Tak mniejwięcej przedstawił ją Wyspiański w „Legjonie”, który swą treścią nawiązuje bezpośrednio do poematu Słowackiego (bytność Makryny u papieża, jej rzekome spotkanie się z carem).

Temat zatem miał tradycję piękną w naszej literaturze — i już samo to mogło pociągać poetę, który za drugiego mistrza swego, po Słowackim, obrał Wyspiańskiego. Wychował się Waśkowski i twórczość swą rozpoczął w atmosferze najgorętszego kultu autora „Warszawianki“, którego był bliskim krewnym i którego skon przedwczesny przebolał w zaraniu swej młodości. W dramatach Waśkowskiego zaznaczali niektórzy krytycy wpływ Wyspiańskiego — doszukać go się można i w „Makrynie“. Jednakże bezpośrednim bodźcem do napisania dramatu — silniejszym niż ów przykład dwu wielkich poetów — było co innego. Nie bez powodu główna osoba dramatu została już w samym tytule nazwana poprostu M a k r y n ą — nie m a t k ą M a k r y n ą M i e c z y s ł a w s k ą; to odjęcie jej zaszczytnego miana matki i bohatersko brzmiącego nazwiska ma tu sens głębszy. Jest to bowiem bolesna rewizja długoletniej legendy, przyćmienie aureoli, jaśniejącej do niedawna blaskiem fałszywym, acz zdolnym porazić, oczy pragnące spozierać bystro w sprawy swego narodu, lecz przyćmione serdecznemi łzami...

Kilka lat temu pojawiła się książka „Makryna Mieczysławska w świetle prawdy” napisana przez ks. Jana Urbana T. J., redaktora „Przeglądu Powszechnego“. Autor zbadał gruntownie i sumiennie wszystkie źródła historyczne, odnoszące się do dziejów prześladowania Unji pod zaborem rosyjskim i na ich podstawie stwierdził, że ani w Mińsku ani w żadnym klasztorze bazyljańskim nie było mniszki, a tem mniej przełożonej nazwiskiem Makryna Mieczysławska, a podająca się za nią osoba była zwykłą oszustką, która zasłyszaną przez siebie (i niedostatecznie zapamiętaną) opowieść o rzeczywistem prześladowaniu bazyljanek przez Siemaszkę, wyzyskała w tym celu, by zdobyć dla siebie litość Polaków, przebywających na emigracji. W pięknem „Domówieniu“ do swej książki pisał ks. Urban: „Niewątpliwie stwierdzenie tej prawdy jest bolesne, bo rozsypuje w gruzy drogą dotychczas legendę; bolesne, bo upokarza

[1]) Antoni Waśkowski. „Makryna“ dramat w pięciu aktach z prologiem. Kraków MCMXXIX. Nakładem księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

nas przekonanie się, żeśmy legendę, na ordynarnem oszustwie opartą, czcili dotychczas za świętość. Miejmy jednak na tyle odwagi, aby zwyciężyć i tę boleść i to upokorzenie i powiedzieć sobie: *magis amica veritas*!.. Kłamstwo — a jeszcze takie! — nie zasługuje na pietyzm! W Martyrologium naszem niema miejsca dla Mieczysławskiej!"

Książka ks. Urbana dała Waśkowskiemu podnietę twórczą, nowe tworzywo poetyckie. Może się to wydać paradoksem — boć przecie książka ta zburzyła jedną z najbardziej poetycznych naszych legend, odarła ją z promiennego nimbu poetyckiego, przekreśliła opowieść o tragicznych dziejach kobiety, uważanej przedtem za bohaterkę... Gdzież tu materjał do dzieła poetyckiego, zwłaszcza dramatu?... A jednak tak jest w istocie: książka ks. Urbana przez wymowę suchych faktów utorowała drogę do zrozumienia tragizmu, bardziej tragicznego od wielu tragizmów. Miejsce fikcyjnego tragizmu jednostki zajął istotny tragizm całego społeczeństwa i to tragizm podwójny: tragizm męczarni i tragizm ironji. Prawdziwą była męczarnia narodu, któremu odbierano wiarę, mowę, ziemię, życie najlepszych jednostek... prawdziwą jego udręka duchowa, granicząca z rozpaczą, szamotanie się bezsilne z przemocą, uporczywe szukanie ratunku choćby w cudzie Bożym, gdy już siły ziemskie zawiodły — i dopatrywanie się niejednokrotnie zapowiedzi cudu tam, gdzie jej wcale nie było. Udręka ta prowadziła naród lub jego jednostki nieraz do egzaltacji lub do bluźnierstw; z niej wyrósł bunt Konrada w „Improwizacji" i wiara w Chrystusowość Polski. Na tem tle zrozumiałe się staje rozgorączkowanie umysłów, wywołane zjawieniem się najpierw Towiańskiego, a następnie rzekomej „Mieczysławskiej". To, że najwybitniejsze umysły w narodzie dały się uwieść oszustwu, było w swej ironji jedną z najboleśniejszych stron narodowej tragedji.

Waśkowski idzie w swym poglądzie na Makrynę dalej, niż ks. Urban. Widzi w niej nietylko dążącą do własnych celów oszustkę, ale i narzędzie celów szatana. Szatan zamierza wyzyskać chwilę depresji narodu i z pomocą oszustwa Makryny podbić stopniowo dusze Polaków. Makryna jest całkowicie świadoma swego współdziałania z duchem ciemności: nazywa go swoim „sprzymierzeńcem". Jest w tem powiedzeniu pewna niejasność, bo wynikałoby z niego, że plan duchowego podboju Polski wyszedł z inicjatywy Makryny, a szatan jej tylko w tem dopomaga — tymczasem dalsza akcja dramatu powiada coś wręcz przeciwnego. O duszę Makryny, jak niegdyś o duszę Irydjona, toczy się bój, będący jednocześnie walką o duszę społeczeństwa i narodu. Przeciwko szatanowi, pojawiającemu się pod różnemi postaciami — sotnika rosyjskiego, tajemniczego mnicha, nieznajomego, wreszcie doktora (jak w „Kordjanie" Słowackiego) staje w tej walce Pustelnik-Pielgrzym, który (jak poznać można z kulminacyjnych scen VII-mej i VIII-ej aktu III-go) jest pod różnemi swemi postaciami uosobieniem sumienia Makryny. Walka to dlań niełatwa, gdyż szatan silnie omotał duszę Makryny, uwiódł ją ponętą sławy i czci ze strony ziomków, a nawet i cudzoziemców, pomiędzy którymi nie brak najwyższych dostojników Kościoła; cogorsza, wszystkie pozory mówią za tem, że Makryna spełnia misję świętą, pożyteczną i dla narodu i dla Chrystusowej religji. Tak więc zanosi się na to, iż szatan za sprawą Makryny postawi zwycięską stopę nietylko na narodzie polskim, ale i na Opoce Piotrowej. Jednakże o tę Opokę rozbijają się moce piekielne. W Rzymie — w chwili, gdy ma błogosławić sztandar legjonu Mickiewicza — dokonywa się w duszy Makryny przełom: załkała w niej dusza. Ona — grzesznica — za świętą uważana przez Polaków — czuje się zawstydzona swem oszustwem i obłudą, a jednocześnie zaczyna zdawać sobie sprawę z tego, że Bóg przez nią, pomimo a zrazu i wbrew jej woli, Swoje spełnia zamiary. Sprzymierzeńcem jej staje się już nie szatan, ale — wedle słów pielgrzyma—modlitwa. Pod kopułą św. Piotra, gdzie, leżąc krzyżem, przyjmowała błogosławieństwo papieskie, wydzwoniła dla niej „godzina skruchy i opamiętania". Mierzić ją poczyna „na kłamstwie zbudowana sława" — i w chwili, gdy szatan gotuje się do wykonania ostatecznego i najstraszniejszego ze swych zamysłów — podboju samej stolicy Chrześcijaństwa — ona odmawia mu swej pomocy, co więcej, staje do otwartej walki przeciwko niemu. Szatan — o ironjo! — ma przeciw niej broń straszną: może na nią ściągnąć klątwę papieską, wyjawiając tajemnicę, że ta, która podawała się za mniszkę i męczennicę, była kłamczynią i zarozumiałą zdobywczynią zaszczytów światowych. Kiedy i to nie skutkuje, stara się nie dopuścić przynajmniej do jej zupełnego pojednania się z Bogiem. Ostatnia scena dramatu ma pewną podstawę znów w książce ks. Urbana, który przytacza jedną z wersyj o ostatnich chwilach Makryny: „Makryna, według tego podania, miała w ostatnich dniach swego życia wpaść w rozpacz o swojem zbawieniu: naokoło siebie widziała piekło, nie chciała się spowiadać. Żeby ją do przyjęcia ostatnich sakramentów usposobić, wiele musiał natrudzić się ks. Kajsiewicz. Między innemi środkami, przyniósł wyrobione od Ojca św. specjalne błogosławieństwo i zapewnienie, że posiada wszelkie władze do usunięcia wszelkich trudności, jakiekolwiek duszę jej trapićby mogły".

Dramat Waśkowskiego, nowy—jak widzimy—w punkcie wyjścia i w ujęciu wątku literackiego, mającego chlubną tradycję w naszej poezji, ma wiele scen o silnem napięciu dramatycznem, któreby były jeszcze lepiej uwydatnione, gdyby autor umiał wyzyskać w miejscach odpowiednich te najcudowniejsze i najskuteczniejsze z efektów dramatycznych, jakiemi są prostota i zwięzłość wysłowienia. Liryzm lub metaforyzm, a także i potoczystość wiersza i jego wytworność, osłabiły miejscami dobitność djalogu, miejscami zaś przyczyniły się do tego wyrazy silne wprawdzie, ale już dziś zużyte i nie osiągające swego celu w dramacie: owe pioruny, błyskawice i miecze oraz kilka jeszcze innych sprzętów z arsenału romantycznego — choć przyznać należy, że do tła epoki, przedstawionej w „Makrynie", do środowiska, wiążącego się z „Dziadami", „Zborowskim" i „Nieboską", naogół słownictwo to dobrze pasuje.

Jednakże dzieło całe, owiane szczerą poezją (rozmowa drzew duchów w „Prologu"), a ze szlachetnej urodzone myśli, stanowi w dorobku Waśkowskiego pozycję jedną z najważniejszych i jego talentowi dramatycznemu zdaje się rokować piękne nadzieje. Nie wiem, czy dawniejsze jego dramaty były grane na scenie, w każdym razie „Makryna". jak sądzę, powinna przebyć próbę desek scenicznych, która dla autora lepszem bywa pouczeniem, niż dziesiątki krytyk o dramacie, wydanym w książce.

JÓZEF BIRKENMAJER

NA WIDOWNI

Majowe jubileusze wernyhoryzmu. — Dziesiąta rocznica wyprawy kijowskiej, a czwarta rokoszu majowego. — Jak było w r. 1918? — Głęboka podstawa zatargu. — Czy można wszystko w żart obracać?

WŚRÓD tylu uroczystości jubileuszowych, któremi „sanacja" stara się przyozdobić nasze czasy, brak uroczystej „akademji" ku uczczeniu dziesiątej rocznicy pochodu na Kijów. Przypomniał ją p. Kazimierz Dołęga w „Kurjerze Warszawskim". W bardzo interesującym szkicu zapytuje, czy wybór Kijowa, jako kierunku zamierzonego natarcia na bolszewików, mógł doprowadzić do rozbicia przygotowujących się do uderzenia wojsk nieprzyjaciela? I odpowiada: nie. Dlaczego? Bolszewicy koncentrowali się gdzieindziej. Przewieźli właśnie wojska z południa na odcinek północny, do wrót witebskich, którędy wiedzie stary szlak wszystkich moskiewskich pochodów na Polskę. Uderzenie nasze na Kijów trafiło na próżnię. Gdy wypadło potem bronić się od wrót witebskich, nie było komu nawały odeprzeć.

Plany bolszewików nie mogły przecież nie być zauważone. A jednak — pisze autor — „długi czas uchodziły one uwagi polskiego dowództwa". Cóż robił II oddział? Usiłował raczej wchodzić w plany naszego dowództwa i im przytakiwać:

„Wiadomości II oddziału przez długie zimowe miesiące określały Ukrainę jako rejon koncentracji wojsk, przewożonych z frontu przeciwdenikinowskiego. Wiadomości te trafiały na przygotowany nastrój w naczelnem dowództwie, które chętniej widziało Ukrainę jako teren zamierzonych działań, odpowiadały także zapatrywaniom naczelnego wodza, który jako Naczelnik Państwa prowadził wówczas akcję polityczną, mającą na celu stworzenie państwa ukraińskiego. Nie brakło znaków ostrzegawczych o błędności tych poglądów i zamierzeń. Z wielu stron odzywały się także głosy, ostrzegające przed możliwością niebezpieczeństwa od północy, przychodziły one także z zagranicy. Skądinąd polityczni znawcy spraw ukraińskich ostrzegali przed złudną wartością tworu państwowego Ukrainy.

Nie trafiało to jednak do przekonania naczelnego wodza, który wbrew codziennej praktyce dowodzenia w naszem naczelnem dowództwie, w swe ręce wziął przygotowanie uderzenia na Kijów. Gdy ostatecznie i II oddział zmienił swe poglądy i oznajmił o koncentrowaniu się bolszewików na północnym odcinku naszego frontu, było już zapóźno. Układ z Petlurą był zawarty, nasze wojska znajdowały się już w marszu na Kijów".

Wzywaliśmy potem cudu. — I wtedy był piękny maj. Właśnie dziesięć lat temu. W sześć lat potem o swojej porze przyszedł znowu maj i wspomnienia tamtych czasów bardzo się odświeżyły. Pamiętam, pisałem w owym roku („Gaz. Warsz." 5 września):

„Od maja staliśmy się znowu krajem wschodnich aspiracyj. Wraca jak zły sen, jak koszmar, zastarzały, coraz chorobliwiej parodjowany wernyhoryzm, przypominający owe senne widziadła z „Wesela" Wyspiańskiego, jak to Wernyhora zjawia się zaspanemu gospodarzowi i coś majaczy:

— Słowo — rozkaz — rozkaz — słowo. Roześlesz wici przed świtem... Ma być jawne, co jest krytem, co dalekie było — blisko...

— Czyli marą Wy widmową, czyli Waść jest upiór grobów? Czy ty próchno, czy ty czarem?

— Mówię słowo, rzecz prawdziwą. Chwila, chwila osobliwa. Słyszysz, trzeszczą wielkie drzewa... Tysiąc koni grudy bije...

— Jezus! zmiłuj się nad nami!

W r. 1920 Bóg zmiłował się nad nami w ostatniej chwili. „Dzisiaj—dodałem w owym artykule— Gospodarz (naród polski) może już szarpnąć Wernyhorę za przyprawioną brodę z konopi i zwalić go miotłą, jak dziewczyna postąpiła z Chochołem. Dzisiaj już trochę trudniej parcelować Polskę i na wschód ją „posuwać" według planów polityki obcej".

I tak się stało w cztery lata potem właśnie, kiedy „sanacja", dla uświetnienia czterolecia pomajowych rządów a dziesięciolecia tamtego kijowskiego maja, poczęła dostawać gorączki wschodniej z majaczeniami; znowu zjawił się ów Wernyhora, ale schwycił go za brodę Gospodarz i przytrzymał. A min. Zaleski musiał wymieść konopie ku wielkiej irytacji „Słowa" wileńskiego i innych półsłówek. Odtąd „ma być jawne, co jest kryte".

Gdy o tem mówimy, patrząc na dziesięciolecie dziejów w niepodległości ze stanowiska polityki narodowej wielkiej, godzi się zapytać, czy maj 1926 wniósł coś zasadniczo nowego do naszego życia? To, co nazywamy od przewrotu „sanacją", istniało przedtem, od początku, tylko się lepiej w siedzeniu usadowiło. Przebywamy ciężką chorobę, która trwa stale, przybierając różną postać. Postęp polega na tem, że wrzód zbiera i wreszcie pęknie, salwując organizm od ogólnego zatrucia.

Przed 1926 doskonale zdawaliśmy sobie sprawę z tego stanu. W owym 1920 r. („Gaz. Warsz.", czerwiec) w artykule „Nasza chora młodość polityczna" czytaliśmy:

„Narazie nie władamy swemi ruchami, jakbyśmy mieli porażone centra mózgowe. Ruchy za nas wykonywują ci, którzy nie mają jasnej świadomości dziejowej. Są to umysły przygotowane do robót czysto mechanicznych, wierzące nie w zmysł narodu, lecz w rozmysł ludzi, zrzeszonych według pewnej doktryny i recepty konspiracyjnej. Ojczyznę zastępowała im partja, tradycję chwały narodowej — kult przewódców, poczucie historyczne ewolucji — wiara w mechaniczną rewolucyjność... Taki typ moralny tylko przypadkiem mógł dojść do roli opiekowania się losami narodu, bo ten typ nie ma możności myślenia politycznego".

„Można z tym aparatem duchowym robić politykę zamachów rewolucyjnych, ale nie podobna myśleć za naród.. Od narodu za naród nie mogą być wykonywane czyny polityczne, nie odpowiadające jego woli. Istnieje bowiem odwołanie do narodu, o który każde działanie mechaniczne, idącena przekór tej woli, musi w końcu się rozbić. To, co ten typ maszynowo myślącej pół-inteligencji politycznie sobie wyobraża, nosi w sobie zaród zniszczenia, jest zbyt doktrynerskie, za mało organiczne, jak na politykę, i nierealne".

A gdy zajrzymy do dzienników narodowych z grudnia 1918 r., znajdziemy tą samą diagnozę. W opisie uroczystego nabożeństwa dziękczynnego „z powodu triumfu Koalicji i dla uproszenia pomyślnego dla Polski wyniku rokowań pokojowych", które się odbyło u św. Jana w d. 15 grudnia 1918 r., czytam w tejże gazecie:

„Dziękczynienie bez wyrazu radosnego. Dusze przytłoczone smutkiem. Przywiódł je tutaj pobożny patrjotyzm, szukający wzmocnienia. Opadły kajdany, ale oto zmęczone ciało ciężko zwlec z więziennego barłogu... Kiedy przed miesiącem poranek spędził razem z cieniami nocy Niemców z Warszawy, ulica na lada okrzyk, na widok żołnierza polskiego płakała z radości. Nie tylko ulica, kraj cały gorzał gotowością pracy i ofiary. Jednej rzeczy nie obliczono, że z gruzów więzienia najbliższej nocy księżycowej wylęgnie się rój koboldów złośliwych, który usiądzie na piersiach zmorzonego kraju i zatrzyma fantazję jego snów nad wyraz ciężkiem *memento*:

— Jeszcześ nie gotów do nowego życia. My jesteśmy pokutującą cząstką twojej duszy. Jesteśmy grzechem twojego żywota, twojego niedorozwoju"...

Pamiętam tę chwilę, kiedy wszedł na ambonę ks. arc. Teodorowicz, aby roztoczyć obraz chwili ówczesnej, z wysokości dziejów Polski widziany, i myślałem sobie, z jaką przykrością patrzą na ten obraz ludzie czołowi w prezbiterjum, nie widząc tam nigdzie miejsca dla swej grupy, już wówczas tak malowniczo upozowanej do swej roli, i z jaką przykrością słuchają wołania kaznodziei, wzywającego do obrony Lwowa od hajdamaków ukraińskich. Był to bowiem czas, że Wernyhora pragnął siłą wyrąbać z Polski Ukrainę. Wtedy też zdani byliśmy na cud, na cud nad Pełtwią, — na cud odruchu narodowego.

Łaski tych cudów i wtedy i w r. 1920 dostępowała młodzież polska, lejąca krew w ofierze nowemu odrodzonemu życiu Polski. Odpowiedzią na zamachy jest rozmach życia. Z choroby, którą sprawiła niewola, wyleczyć nas może odrodzenie przez młodsze pokolenie w ten sposób, że przywróci narodowi zdrowe instynkty historyczne. Wiedzą o tem w „sanacji", dlatego z niechęcią i strachem na młodzież patrzą. Na chorą myśl polityczną rzucić zdrowe instynkty, oto najskuteczniejszy kontrzamach.

Myśl polityczna, którą „sanacja" robi tyle kłopotu Polsce, pokutująca od wieku XVIII, kiedy się wyrażała w sojuszach z Prusami, tak obecnie zwyrodniała, że gnieździ się dzisiaj tylko w głowach chorych. Dosłownie wymiera w Polsce, coraz wstydliwiej ukrywana i licząca tylko na zaskoczenia faktami, bo przekonać nikogo nie może. W czasie wojny jeszcze jawnie ją propagowano.

— Co wam szkodzi — mówiono do jej przeciwników—czy Polska przyszła będzie leżała trochę dalej na wschód, czy więcej na zachód? Coście się czepili tego Pomorza!

Tak wykładali myśl polityczną Polski aktywiści pro-germańscy w czasie wojny. Do dnia dzisiejszego nie są oni jeszcze pogodzeni z Pomorzem; mają do niego pretensję, że im psuje fantazje na tematy wschodnie.

Wrzód, który zbiera i którego pęknięcia oczekujemy, ten a nie inny ma rdzeń, głęboko w życie sięgający. Kiedy więc rozważamy to nasze życie z okazji czterolecia, czy dziesięciolecia, to pamiętajmy, że w zatargu z „sanacją" ta kwestja góruje nad innemi, tyczącemi stosunków wewnętrznych. Ta sprawa tak różni ludzi, jakby należeli do różnych narodów sobie wrogich. Nie mogą o sobie mówić: my Polacy — ludzie, którzy nie są zgodni w pojmowaniu Polski—gdzie jest, czem jest i dzięki czemu jest. Boć to nie zagadnienie teoretyczne, lecz kwestja bytu. Gdyby np. różnica w poglądach doszła do sporu o to, czy należy przygotowywać się do obrony granic zachodnich i gdyby—pomimo grożącego niebezpieczeństwa—nic w tej mierze się nie robiło, to zagadnienie owe stałoby się tragiczne. Żadne horoskopy bohaterskiego wyzwolenia ludów na wschodzie nie mogłyby uspokoić przywiązanego do życia narodu. Byłaby to już kwestja bytu.

Różne bywaja powody zatargów, ale nie wszystkie można w żart obracać i nie wszystkie rozstrzygnięcia dadzą się odraczać bez końca dla przyjemności obchodzenia rocznic.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

HOŁD OBROŃCY HONORU I OJCZYZNY

OGŁOSZONA została odezwa, wzywająca do uczczenia zasług zmarłego z trudów więziennych ś. p. jenerała Tadeusza Rozwadowskiego, zwycięskiego obrońcy Lwowa, szefa sztabu w zwycięskiej bitwie pod Warszawą w sierpniu r. 1920, naczelnego wodza wojsk polskich w dniach 12—15 maja 1926 r., niezłomnego strażnika honoru żołnierskiego. Odezwa ukazała się w czwartą rocznicę walk majowych. Czytamy w niej między innemi:

„Ś. p. gen. Rozwadowski dobrze zasłużył się Ojczyźnie, której wiernym i wdzięcznym był synem. Dłużnym Mu wdzięczność jest cały naród polski, w szczególności najbliższa jego sercu, broniona przezeń wielokrotnie Ziemia Czerwieńska.

Niechże pomnik gen. Rozwadowskiego utrwali jego czyny w oczach przyszłych pokoleń; niech zarazem utrwali wdzięczną pamięć narodu, który nie zapomina o swych obrońcach. Dlatego powinien cały naród się składać na fundusz pomnikowy".

W skład Centralnego Komitetu Wykonawczego wchodzą: Członkowie honorowi: pp. Roman Dmowski, gen. Józef Haller, ks. Andrzej Lubomirski, hr. Alfred Potocki, ks. metropolita Adam Sapieha, arcybiskup Bolesław Twardowski, marsz. Wojciech Trąmpczyński, rektor Marjan Zdziechowski

Wydział. Prezes: Stan. hr. Wodzicki; wiceprezesi: radca Leonard Lepszy, prof. U. J. Leon Marchlewski; wiceprezes i skarbnik gen. Franc. Latinik; sekretarze: dr. Karol Piotrowicz, płk. Adam Rozwadowski, rotm. Janusz Skarbek-Michałowski (Lwów, ul. Akademicka 5) i gen. Roman Żaba; członkowie prezydjum: profesorowie U. J. Wład. Leop. Jaworski, Stan. Kot, Juljan Nowak, Jan Rozwadowski, Fryderyk Zoll; Sekcja akademij, odczytów i propagandy prasowej: prof. U. J. Ignacy Chrzanowski, prof. U. J. Jan Dąbrowski, red. Marjan Dąbrowski, prof. U. J. Stan. Estreicher, prof. U. J. Wład. Folkierski, gen. Stan. Haller, prof. U. J. Wład. Konopczyński, gen. Marjan Kukiel, red. Jan Matyasik, Xawery hr. Pusłowski, Mikołaj hr. Rey, K. H. hr. Rostworowski, prof. Stan. Rymar, prof. U. J. Wacław Sobieski, red. dr. Konstanty Srokowski, prof. uniw. Stanisław Stroński (Warszawa pl. Napoleona 1), red. dr. Józef Warchałowski. Sekcja artystyczna: prof. Axentowicz Teodor, prof. Józef Gałęzowski, dyr. Konrad Gorecki, prof. Wład. Jarocki, dr. Franc. Klein, dyr. Feliks Kopera, arch. Wacław Krzyżanowski, prof. Józef. Mehoffer, radca dr. Józef Muczkowski, prof. Kazim. Pochwalski, Zenon Pruszyński, dyr. Artur Schroeder, prezes dr. Stan. Tomkowicz. Sekcja imprez. dr. inż. Juljan Czapliński, dr. Zenon Grabowski, dr. Michał Hladij, dr Stan. Jaugustyn, starosta Rudolf Krupiński, dr. Feliks Kobylański, dyr. Edmund Makowski, Wirgiljusz Pruszyński, starosta Michał Rawski, dr. Stan. Rowiński, płk. Włodz. hr. Tyszkiewicz, dr. Józef Wodniecki, sędzia Stan. Zacharjasz, płk. Eustachy Zakrzewski. Komisja rewizyjna: dr. Henryk Dymidowicz, dyr. Marjan Lanz.

Ofiary składać należy w redakcjach czasopism oraz w P. K. O., konto Nr. 410.730.

WYCHOWANIE NARODOWE

AGITACJA ANTYPOLSKA W GEOGRAFJI NIEMIECKIEJ

(Dokończenie)

POGARDLIWE aluzje geografów niemieckich pod adresem Polski grupują się zwykle dokoła dwu zarzutów: albo kulturalnej niższości, podrzędności Polaków, lub też „zachłanności" Polski na ziemie niemieckie. Polacy zatem są dzicy, niezdolni do jakiejkolwiek kultury. Odżycie znikającego na Górnym Śląsku języka „słowiańskiego" sprowadziło „polski nieporządek i niechlujstwo". Kulturę i porządek, dobrobyt za-

prowadzili dopiero Niemcy. Czy Polacy mogli stworzyć w swem państwie przemysł, gdy on wogóle powstał po rozbiorach Polski. Georg Engelbert Graf [3]) naiwnie dowodzi, że „Polacy są na Górnym Śląsku Niemcom potrzebni, bo są tanim i łatwo się odradzającym materjałem robotniczym przy swej wysokiej nadwyżce urodzin". Bez wielkich wymagań, bez praw, socjalnie niżsi, krwią swoją dali podstawę niemieckiemu przemysłowi do wysokiego rozwoju. Niemca szkoda użyć jako robotnika.

Prehistorycy, jak Gustaw Kossinna, Dr. Wolfgang la Baume, naciągają znów historję do potrzob polityki, ekspansji niemieckiej. Kraj nadwiślański — to prastara ziemia germańska. „Wandowie, koczowniczy lud zbójecki, to praojcowie Słowian, którzy widocznie oddani byli bolszewizmowi już wtedy, gdy mieszkali na południowy wschód od środkowej Wisły w bagnach Prypeci". Germanowie wedle Kossinny mieli już na 5000 lat przed Chrystusem siedzieć nad Wisłą, Słowianie zaś mieli się zjawić dopiero między 600 — 1000 rokiem po Chrystusie; ale już po r. 1100 niemieckie „ciągi kulturalne" zdobyły stary obszar wschodnich Germanów z jego słowiańską, „mieszaną kulturą" na nowo dla Germanów.

Gdański geograf Fritz Braun pisze o Polakach: „W czasie, kiedy na ich kraj pierwszy raz pada światło historji, mieszkają Polacy, jako najskromniejsi rolnicy—nawet pojęcie chłopa wydaje nam się jasne zbyt wysokie — pomiędzy Odrą i Wisłą. Ale dawno już wydarto spokojnym Słowianom (ten łaskaw, że nie robi z nich zbójów i bolszewików) panowanie w ich własnym kraju. Na czele ich szczepów stali dzielni panowie germańskiego lub turańskiego pochodzenia, których bardzo liczni dworzanie prowadzili wojny lub wygrywali bitwy". Widzimy tu znów tendencję spopularyzowania myśli, że Słowianie od początku nadawali się na podwładnych, na niewolników.

W artykułach, dotyczących żądania „rewizji granic", powołują się Niemcy na swoje prawa językowe, na zasługi kulturalne, na zachwianą równowagę ekonomiczną Europy, którą tylko oni mogą naprawić przez swe uzdolnienia na polu przemysłu i rolnictwa. Na Pomorzu i w Prusiech Wschodnich liczą Niemcy Kaszubów i Mazurów jako osobne narodowości. Tak np. na mapie Pomorza Pencka Niemcy oznaczeni są kółkami czarnemi, Polacy białemi, Kaszubi do połowy czarnemi, do połowy białemi. Z tego zestawienia kolorów wynika, że optyczne wrażenie daje bezwzględną przewagę Niemcom. Uczeni niemieccy nie uznają i nie używają zupełnie wyników spisu z roku 1921, lecz operują danemi z r. 1910, które fabrykowała armja pruskich urzędników przedwojennych. Penck rozprawę swoją „Niemcy w polskim korytarzu" kończy przewidywaniem, że „nadrukowane na mapie polityczne granice" okażą się niestałe, dzięki jakimś „moralnym siłom", które się obudzą w Niemczech. Znamy dobrze te moralne siły germańskie, które doprowadziły do zagarnięcia ziem Słowian nadłabskich, do wytępienia i zgermanizowania Obotrytów, Lutyków a potem litewskich Prusów. Budzenie takich sił moralnych musi doprowadzić do wojny, do prób zabrania Polsce ziem zachodnich, które Niemcy uważali już za odwiecznie i na wieki swoje, a o których mówili i mówią, że są im potrzebne z powodów ekonomicznych, Poznańskie i Pomorze jako słynne z nadprodukcji zboża, a Górny Śląsk z powodu swych bogactw mineralnych.

Przytoczone powyżej tendencje geografów niemieckich jeszcze silniej dźwięczą w podręcznikach szkolnych, które mają na celu uświadomienie młodych Niemców co do ich przyszłych zadań życiowych. Hasłem w nauce geografji jest wychowanie przyszłego pokolenia tak, aby „odzyskało naszą wolność". O cóż tu zatem chodzi, jeśli nie o odebranie Polsce ziem, które przed tysiącem lat były kolebką państwa polskiego.

Pielęgnuje się w szkole hasła tak zw. „narodowej pracy ochronnej" (*völkische Schutzarbeit*) naginając odpowiednio każdy przedmiot, czy to w nauce języków, czy historji, w przyrodzie, fizyce czy chemji. Dr. Lucas w rozprawie „*Geopolitische Fragen im geographischen unterricht*" przedstawia uczniom barwnie nieprzyjaciół, w których mają uderzyć: „białego orła, który swe szpony wbija" nawet w brandeburską ziemię, (słowiańską, jak wiadomo) i „dwuogoniastego lwa czeskiego, który ryczy już nad rzeką Eger".

Dr. Lukas rozróżnia trzy stopnie posiadania ziemi przez Niemców:

1) ziemię narodową niemiecką (*der deutsche Volksboden*), zajętą przez zwarte osiedla niemieckie, do czego zalicze Prusy Wschodnie (mimo Mazurów) Gdańsk i Austrję.

2) ziemię kultury niemieckiej (*der deutsche Kulturboden*), na której są wyspy mniejszości niemieckiej i która pozostawała długi czas w administracji niemieckiej;

3) ziemię przeznaczenia niemieckiego (*Schicksalsboden*), gdzie niemczyzna jest rozcieńczona w swem rozpowszechnieniu, gdzie jednak mogą zapaść niezmiernie ważne decyzje (np. wojna polsko-rosyjska, południowo-słowiańska i włoska, madziarsko-rumuńska).

Podział zdumiewający! Trzecia zwłaszcza serja ziem, obejmująca niemal całą Europę, wskazuje na to, jak Niemcy czyhają na każdą okazję sporów, walk w Europie, by rozpalić nowy pożar wojenny, wywołać zamieszanie, a z niego wydobyć jak najwięcej korzyści.

Helena Radeck [1]) poucza, że uczniowie muszą zrozumieć, iż granice Niemiec są za ciasne. Niemcy zaś zagraniczni, to przednie posterunki gospodarcze, kulturalne i polityczne kraju macierzystego. Wanderlich [2]) pisze: „Kwestja wschodnich granic" jest kwestją, od której zależy „cała przyszłość Niemiec, ich byt lub niebyt", stąd obowiązek nauczycieli niemieckich informowania się dokładnie o książkach, dotyczących tej kwestji.

Polska jest jedynem państwem w Europie, wobec którego autorzy i wydawcy niemieckich podręczników pozwalają sobie na tendencyjne kłamstwa; już wobec Czechosłowacji zachowują się objektywniej. Przymusowy zwrot ziem polskich, które uważali za strawione, za przepojone kulturą niemiecką, zaślepia Niemców zupełnie, popycha do fałszowania historji, geografji, nauki wogóle, obniża ich kulturalnie coraz bardziej. Pokolenie wychowane na fałszach będzie z jednej strony materjałem palnym dla całej Europy, z drugiej strony zaciemni Niemcom realny pogląd na warunki poli-

[3]) *„Die geogr. Lage des oberschles. Industriagebiets"*' *„Geogr. Zeitschirft" 1919.*

[1]) *„Geogr. Anzeiger"* 1928.
[2]) *„Geogr. Anzeiger"* 1926.

tyczne, na układ sił w Europie i może zgotować zasłużoną w tym wypadku katastrofę.

Podobne tendencje antypolskie uprawiane są na terenie wolnego miasta Gdańska, gdzie szkoły, zwłaszcza średnie, używają tych samych podręczników do geografji — których używają szkoły państwa niemieckiego. Niemcy nauczyciele sadzą się jeszcze na specjalne, swoje oświetlenia. W Gdańsku nazwę Polski również się omija. Przy imporcie Gdańska Polska znajduje się na ostatniem miejscu. O kolei polskiej mówi się, że Polska ma w Gdańsku tylko prawa przedsiębiorcy i musi się stosować do praw gdańskich. Ani słowa wzmianki o prawach Polski w porcie gdańskim. Żadnej wzmianki o tem, że Gdańsk przez $3^1/_2$ wieku należał do państwa polskiego. Przy omawianiu pamiątek architektonicznych z czasów największej świetności Gdańska nigdy nie wspomina się o królach polskich.

W Niemczech i Gdańsku, zwłaszcza zaś w szkołach, Niemcy nic się nie zmienili, operują podobnymi paszkwilami, jak za najgorszego okresu germanizacyjnego przed wojną. Świat nauczycielski czerpie nastroje i rzekome materjały naukowe z czasopism naukowych geograficznych, które zamiast się poświęcać badaniom naukowym, uprawiają polityczną agitację przeciw Polsce.

Z. P.

NAUKA I LITERATURA

RUCH WYDAWNICZY

„Doktryna nominalistyczno - kwantytatywna — studja cztery“, Zdzisława Stahla (Lwów 1928 — 1930), to pod wspólnym tytułem wydane studja, drukowane częściowo w lwowskim „Przeglądzie Prawa i Adm.“; częściowo w poznańskim „Ruchu prawn. i ekonom.“ oraz wydane następnie jako odbitki. Tworzą one obecnie całość, a mianowicie monografję o doktrynie ilościowej pieniądza, złożoną z części następujących: I. O nominalizmie, II. Rozwój doktryny ilościowej, III. Doktryna ilościowa w świetle metody statystycznej, IV. O doktrynie ilościowej. Wspólny tytuł (doktryna nominalistyczno-kwantytatywna) zawiera zarazem główną tezę rozprawy, dowodzącej, iż podstawą teorji ilościowej jest pogląd na istotę pieniądza, odmawiający mu charakteru dobra o własnej wartości. Autor zajmuje wobec omawianej przez siebie doktryny — odmiennie, niż większość panujących aktualnie poglądów, — stanowisko krytyczne i stwierdza jej rozkład. Monografja ta zdaje się być częścią obszerniejszego, zamierzonego studjum o teorjach monetarnych oraz o istocie pieniądza.

*

Barwnem i interesującem wspomnieniem epoki napoleońskiej jest świeżo wydana, nakładem Księgarni Popularnej w Warszawie, powieść Stanisława A. Wotowskiego „Lekkomyślna księżna“. Powieść napisana jest w formie pamiętnika młodego oficera, Polaka, który po powrocie z hiszpańskiej kampanji do Paryża został przez swawolną siostrę Napoleona, Paulinę, wplątany w miłosną awanturę. Opisy koszarowego życia oficerów, parady wojskowej, balu dworskiego, intryg partyj politycznych i dworskich, i wogóle atmosfera ówczesnej burzliwej epoki, nakreślone są tak jak i sylwety historycznych postaci, z śmiałym temperamentem pisarskim. Często zbyt usilna i jawna chęć wywołania sensacji sztucznej i nieraz aż ciągnionej za włosy, psuje artystyczny poziom książki, to jednak, co w niej dał autor, jest jako rezultat erudycji nie bez wartości dorobkiem w naszej powieściowej literaturze dotycząc udziału Polaków w armji Napoleona.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

„La Bête de race“ (Flammarion édit.) jest pierwszą powieścią p. Claude Morgan. Sylvine Deckers, Amerykanka i oczywiście, jak przystało miljarderka, prowadzi życie swobodne w zbytku ogromnym. Sylvine, egoistka i samowładna, kieruje się tylko kaprysem i fantazją. W swoich różnych podróżach, zatrzymuje się na Lazurowem Wybrzeżu, gdzie spotyka młodego i utalentowanego malarza, Jacques Chalmin. Temu wydaje się, iż ta piękna cudzoziemka będzie jego oryginalną inspiratorką artystyczną. Tymczasem w bardzo krótkim czasie po poślubieniu, Jacques rozumie, iż odczuwał do niej jedynie pociąg zmysłowy. Sylvine zresztą nie znosi żadnych pęt, nawet miłości, gdyż jest *„une bête de race“*. Malarz żony swojej nie jest w stanie ujarzmić nawet uczuciem. Z tego też powodu wybuchnie pomiędzy nimi konflikt, którego kolejne etapy autor odtworzy nam w sposób dramatyczny. Po ciężkich chwilach zniechęcenia i rozpaczy, Jacques Chalmin powoli odzyska równowagę, dzięki swej sztuce, a także i dzięki innej miłości, która go pogodzi z życiem. *„Bête de race“* posiada cały szereg ciekawych stronic, wykazujących talent młodego autora. Dodać zresztą należy, iż wstęp do tej książki został napisany przez Piotra Benoit, który oświadcza, iż uważa p. Claude Morgan za prawdziwego rasowego powieściopisarza.

*

W *„Cécile de la Folie“* (Plon édit). p. Marc Chadourne odmalowuje nam bardzo ciekawą miłość Franciszka i Cecylji. Ta ostatnia jest panną bez zewnętrznego powabu i bez specjalnego wdzięku jako kobieta, ale posiadającą niesłychany zgoła dar muzykalności. Miłość François i Cécile zrodziła się poprostu pod znakiem muzyki; zmysły jednakowoż w niej nie odgrywają żadnej roli; biorą oni zatem — a zwłaszcza on — pewną ekstazę artystyczną za jakieś uczucie. Jest to natomiast tylko błędny ognik. Franciszkowi zdaje się, iż kocha Cécile, ale przekłada ponad nią wszelkie inne kobiety. Dwoistość natury?—Zapewne. François nie jest pozbawiony zalet i poszukiwania wyższego ideału, ale dźwięki muzyki, granej ręką Cécile, przebrzmiewają szybko, a z niemi razem i dodatnie porywy François. Powróci on jednak do niej w okresie wielkiego postu, jakby za pokutę; potem znowu wahania jego biorą górę, a dręczą nieszczęśliwą dziewczynę, którą wreszcie zrujnuje i znowu porzuci. François odnajdzie jeszcze po szeregu różnych awanturniczych prób Cécile zupełnie wynędzniałą od głodu i cierpienia. Ku wielkiemu jednak zdziwieniu proponuje poślubienie jej. Cécile nie wierzy swym uszom zrazu, ale wkrótce potem nie ma żadnej wątpliwości, że François uczyni to tylko pod wpływem kokainy. Wówczas rozpacz bierze ostatecznie górę i Cécile rzuca się do Sekwany, bo dla niej *„L'Amour n'est pas le fou du temps“*, a taką natomiast była natura niestała François.

Powieść to nieco przeładowana epizodami, ale ponad wszystkiemi drugorzędnemi bohaterkami, szerzącemi zepsucie w duszy François, góruje niezawodnie ciekawa i patetyczna postać Cécile.

*

U wydawcy Grasset'a ukaże się w najbliższych miesiącach szereg bardzo ciekawych publikacyj, zarówno ze względu na autorów, jak i na tematy przez nich opracowywane. Z pośród nich należy wymienić następujące nazwiska i tytuły: p. Daudet „Dwadzieścia miesięcy wygnania“; p. Blaise Cendrars *„Vie et mort de Soldat Innconnu“*; p. Bernanos „Studjum o Drummond“; p. François Mauriac *„Ce qui etait perdu“*.

*

Azorin, znakomity pisarz hiszpański uważany jest powszechnie za mistrza słowa i pięknego stylu. Cały szereg pisarzy kształcił się na jego wzorach. Ostatnia jego książka *„Superrealismo“* daje nowy dowód wielkości jego talentu.

*

W miesięczniku *„La Pologne“*, wydawanym w Paryżu pod redakcją Kazimierza Smogorzewskiego przez Tow. Francusko-Polskie (Paris IX, rue Godot-de-Manroy, 5) w zeszycie z kwietnia (4) znajdujemy obszerniejszy referat M. Tretera o współczesnem malarstwie polskiem i K. Smogorzewskiego o prasie polskiej. Autor ostatniej z tych prac oparł się na książce S. Jarkowskiego z r. 1926, nie uwzględnił najświeższej pracy Piotra Grzegorczyka, z której zdaliśmy sprawę w nr. 13. Daje w niej treściwe i wyczerpujące naogół informacje, zapowiadając świetny rozwój prasy, gdy szkoły powszechne doczekają się plonu w ludności dorosłej. Z pośród tygodników na pierwszem miejscu wymienia „Myśl Narodową“, poświęcając jej pełne uznania uwagi. Myli się w statystyce dzienników warszawskich. Pominięta przez niego „Gazeta Warszawska“ należy obecnie do dzienników najpoczytniejszych i trzyma prym nad temi, które wymienił.

Majowy zeszyt czasopisma *„La Pologne“* (Paryż, Stron. Franko-Polskie), zawiera artykuły: prof. Handelsmana o polityce zagranicznej polskiej w latach 1831—1856, ks. J. Rostworowskiego „Katolicy polscy a katolicy niemieccy“, Zygm. L. Zaleskiego o powieściach Jul. Kaden-Bandrowskiego, Wacława Grubińskiego o teatrze w Polsce. — Bogaty przegląd polityczny, oraz działy recenzyj i kroniki zamykają zeszyt.

SZTUKI PLASTYCZNE

ABECADŁO URBANISTYKI

ZWRÓCONO nareszcie uwagę na to, że miasto nie powinno rosnąć, jak puszcza leśna, ale że je należy doprowadzić do stanu parkowego, bo tego wymaga stała w niem obecność ludzi, którzy mają już uroszczenia, a czasem — prawa do stanu nadzwierzęcego. Powstała przeto wiedza uporządkowana, rodzaj nauki, jak trzeba miasta planować, budować, zdobić, jak w nich poruszać się i mieszkać. Powstała i, jak nauce przystoi, nazwała się złacińska — urbanistyką. Z Zachodu po wojnie światowej przywędrowała do Polski i tu, jak wszystko, co zapożyczone, przyjęła się na początek tylko w najjaskrawszych wzorach i w linjach najuchwytniejszych, pozostawiając tłum szczegółów w dotychczasowem, dawno ustalonem ich zaniedbaniu. Ponieważ te szczegóły w setkach odmian na każdym kroku się trafiają i życie w mieście uprzykrzają, a rady miejskie, przejęte wielkością wielkich linij urbanistyki, do szczegółów się nie zniżają, warto więc, a może i z pożytkiem będzie, gdy do świeczników magistratu stołecznego miasta Warszawy skierujemy o tych właśnie szczegółach z nizin umęczonych długo tłumiony głos... *de profundis.* Zobrazujemy na żywych przykładach abecadło warszawskiej urbanistyki.

Oto dziedzina ruchu ulicznego, w śródmieściu miljonowego miasta szczególnie ważna. Sporo już w niej zrobiono i ulepszono, podejdźmy więc do tego, co ostatnio zrobiono w jednym z najczulszych przegubów samego środka śródmieścia — na skrzyżowaniu ulic Szpitalnej, Zgoda, Chmielnej i Brackiej. Jest to jeden z najruchliwszych i najbardziej zwikłanych węzłów stolicy. Tu zatem w rozwiązaniu ruchu kołowego obowiązuje najsurowsza logika i najjaśniejsza prostota. Cóż uczyniono? Na środku trójkątnego zbiegu tych ulic ustawiono budkę, przy której skupiono aż cztery przystanki autobusowe. Dokoła budki idzie wązki chodniczek, a dokoła chodniczka trzy jezdnie o dużej ruchliwości z dziewięcioma kierunkami jazd. Zmuszono publiczność autobusową czterech przystanków do tłoczenia się na jednym przystanku i to na ciasnej wysepce pośrodku zawiłego węzła ruchu kołowngo. Zmuszono również autobusy do jazdy nielogicznej: autobus idący z Brackiej na Szpitalną musi skręcać z lewej strony jezdni na prawą właśnie na skrzyżowaniu z Chmielną, zaś autobus idący z ulicy Zgoda na tem samem skrzyżowaniu musi skręcać z prawej strony jezdni na lewą. A to wszystko w tym jedynie celu, żeby na środku tak splątanych jezdni stała budka z reklamą magazynu Braci Jabłkowskich. Gdyby istniał konkurs na najgłupsze rozwiązanie ruchu ulicznego, ta budka z czterema przystankami uzyskałaby pierwszą nagrodę, a jej autor przywilej *hors concours* na całe życie.

Obok, tuż obok istnieją cztery ciche, jedyne w tych warunkach miejsca na cztery przystanki autobusów: dwa naprzeciw siebie u wylotu ulicy Zgoda, o kilkanaście metrów w głąb tej ulicy po obu jej stronach — dla autobusów linji *A-bis* dla dwóch kierunków, oraz dwa u wylotu ulicy Szpitalnej, analogiczne do tamtych, — dla autobusów linji *A* dla dwóch kierunków. Uzyskałoby się tym sposobem logikę ruchu ulicznego i wygody następujące: Popierwsze, publiczność autobusowa zostałaby rozdzielona na cztery grupy, co znakomicie zmniejszyłoby tłok. Podrugie. publiczność ta grupowałaby się na chodnikach ulic, a nie na wysepce pośrodku trzech jezdni ruchliwych i chaotycznych, co znacznie zwiększyłoby bezpieczeństwo i spokój ulicy. Potrzecie autobusy chodziłyby logicznie, bo ten, który idzie z Brackiej na Zgodę, skręcałby na skrzyżowaniu z Chmielną z prawej jezdni Brackiej na prawą jezdnię Zgody, co zgadza się z powszechną zasadą jazdy, ten zaś, który idzie ze Szpitalnej, skręcałby z prawej jezdni Szpitalnej w prawą jezdnię Brackiej, a nie, jak teraz, z lewej w prawą i odwrotnie, co stwarza tu zamęt niemożliwy. Poczwarte, budkę należy usunąć a na wysepce postawić policjanta na podwyższeniu, bo tu jest jedyne dla niego miejsce, a nie na boczku naprzeciw Szpitalnej, jak stoi obecnie. Z wysepki tej policjant jednym rzutem oka ogarniać będzie wszystkie sześć wylotów ulic i sam będzie widoczny dla wszystkich, co ogromnie ułatwi mu kierowanie tak splątanym ruchem kołowym. Popiąte, pusta wysepka stanie się zbawczą dla przechodniów, przecinających tu jezdnię w kilku kierunkach, którego zadania teraz spełniać nie może, bo rozparła się na niej buda nikomu niepotrzebna, a na wąziutkim chodniczku (z ławkami!) zatłoczona jest publicznością czterech przystanków autobusowych.

Jestem zupełnie pewien, że projektowane tu przezemnie zmiany prędzej czy później zostaną urzeczywistnione, bo tego wymagam nie ja, ale logika życia i bezpieczeństwo mieszkańców. Od siebie proszę tylko o jedno: gdy już zmiany nastąpią, a wysepka będzie pusta, niech na niej będzie wzniesiony pomnik dla tego radcy, który obecne rozwiązanie ruchu kołowego w tym punkcie miasta zaprojektował. Na wieczną rzeczy pamiątkę. Pomnik nie wiele miejsca zajmie, bo ma to być koniecznie cieniutki a wysoki obelisk w kratkę zielono-żółtawą, a na jego szczycie ma być umieszczona postać pana radcy, ale koniecznie do góry nogami, przyczem nogi we wdzięcznym ruchu tanecznym. W zębach może trzymać reklamę dla magazynu Braci Jabłkowskich, a z pod rozwianych pół surduta może świecić kolorowa Osramówka— ku niebu litościwemu. Na podstawie obeliska ma być wykuty napis odpowiedni: radcy Iksowskiemu od wdzięcznych warszawian, czy coś w tym rodzaju a może jeszcze jaki rym strzelisty od związku szoferów.

Czy opisany tutaj przykład rozsądku w opiece nad miastem jest wyjątkiem? Nie. Jest niemal typowy. Niema w stolicy miejsca, w któremby nie znać było niedbalstwa, odwrócenia logiki, ciemnoty, bezradności ze strony „czynników odpowiednich" (lecz nie odpowiedzialnych). Umyślnie pomijam tu sprawy i ulepszenia, wymagające kosztów, celowo omawiam tylko te, które bez pieniędzy i minimalnym nakładem pracy można rozstrzygać z użyciem jedynie odrobiny oleju w głowie „czynników". Podejdźmy, naprzykład, o kilkaset kroków na południe do zbiegu Brackiej i Alei Palestyńskiej (*pardon!..:* Jerozolimskiej). Tu na północno-zachodnim rogu znowu przystanek autobusowy i tłok taki, że nie sposób się przecisnąć. Tłok ten i ścisk stworzyli sami ojcowie miasta i zobaczmy, jak sprytnie i dowcipnie! Mogliby znakomicie reżyserować w teatrach, lecz oni wolą z ulic stolicy robić sobie sceny na wielką skalę, żywe, prawdziwe, naturalne...

Przedewszyszystkiem zauważmy, że i ten punkt ulicy jest bardzo ruchliwy, zwłaszcza na chodnikach. Ale tu właśnie, jak na ironję, jezdnia Brackiej ulicy jest zbyteczna o jakie dwa metry (licząc na samym rogu) rozszerzona. Właśnie o te dwa metry należy tu koniecznie rozszerzyć chodnik, przez co stworzy się pierwszy warunek swobody ruchu pieszych. Następnie: na tym wązkim rogu z przystankiem, na którym wciąż wyczekują gromady ludzi, rozwieszono wzdłuż ściany wielkie ramy z fotografjami nowości kinematograficznych. Rzecz prosta, że bezustannie wystają tu wciąż nowe gromady gapiów, plecami do gromad, czekających na autobus. Mało tego! W ścisku tym stoi budka z papierosami. Tu znowu — gromadki kupujących. I tego mało! Obok stoi stragan z pomarańczami, gdzie nowe gromadki łakomych, czy łaknących. Czy żaden radca tędy nie przechodzi? Czy też tak mu trudno jednem rozporządzeniem usunąć fotografje, przesunąć na Aleję Jerychońską (*pardon!..:* Jerozolimską) budkę z papierosami i stragan, oraz rozszerzyć o dwa metry chodnik?... Myślę, że najtrudniej mu... pomyśleć. Spoci się biedak i machnie ręką, eh! z myśleniem, su-

mowaniem „bodaj się pan“... tak zakończy jedynym dostępnym sobie urywkiem z „Wesela“.

Te budki i stragany, stale na rogach ulic umieszczane, także wymownie świadczą o myślowym stanie przesławnych radców miejskich. Rogi ulic są zawsze najruchliwsze i dla ruchu najtrudniejsze. Prosty rozsądek nakazuje usuwać z rogu ulic wszystko zbyteczne. Ale w odwróconej Warszawie na rogach właśnie ustawia się: budki sprzedażne, stragany, wystawy fotograficzne, kjoski żelazne, urządzenia elektryczne, słupy telegraficzne, tramwajowe i latarniowe, ogródki kawiarnie, drzewa i ich duże betonowe donice (niby wilcze doły błotne i zaśmiecone), wszelkiego rodzaju gazeciarzów ulicznych, *boy*'ów czyścibuckich, bronzowników, zachwalających spajanie naczyń pobitych i tym podobne martwe i nieme, lub ruchliwe i krzykliwe przeszkody. O dwadzieścia metrów wgłąb każdej ulicy — przestronnie, tylko tu mianowicie, gdzie zwykle są przystanki tramwajowe i autobusowe — taki tłok przedmiotów, urządzeń, gapiów i... powszechnej irytacji. Każdy róg uliczny ma swoje odmiany, a dla typowego przykładu proszę przyjrzeć się dwum wschodnim rogom przy zbiegu ulic Marszałkowskiej i Alei Izraelskiej (*pardon!*..: Jerozolimskiej). Skoro już tak ciągle się mylę, godzi się spytać, dlaczego tylko kawałek wielkiej ulicy nazwano „Aleją 3 maja“, zaś na całe jej cztery piąte długości zapożyczono imienia od wrogich nam koczowników? Bądźmy już raz niepołowiczni i nazwijmy całość tej Alei: Aleją Aszera Ginsberga. Brzmi ładnie i symbolicznie... A przytem logicznie, bo jedna i ta sama ulica nie powinna nazywać się w części tak, a w pozostałej resztce — inaczej.

Wspomniałem o drzewach. Te umęczone w Warszawie istoty, biedne, anemiczne, wiecznie chore, w donicach wśród wrzasku i kurzu ulic hodowane tworzą chodnikami nieruchomy pochód niemego i tragicznego wyrzutu w kierunku „czynników odpowiednich“. Rada miasta mogłaby nareszcie wiedzieć, które ulice nadają się do sadzenia drzew, a które stanowczo się nie nadają. Skoro Nowy-Świat drzew (i słusznie) jest pozbawiony, tembardziej nieodpowiednie są do zadrzewienia takie ulice, jak Marszałkowska, Krucza i tym podobne. Coś tam mówiono i pisano o regulowaniu ruchu pieszego nietylko wpoprzek jezdni, ale i wzdłuż chodników. Jakże ludzie mają logicznie chodzić po wąskim chodniku ulicy, naprzykład Marszałkowskiej, kiedy po jej stronie słonecznej bliżej kamienic nie można iść, bo przeszkadzają nisko zwieszone, brudne łachmany markiz sklepowych, a bliżej jezdni także nie można iść, bo przeszkadzają gęsto rozłożone błotniste i zaśmiecone, jak gnojówki, donice na drzewa przeznaczone, a bardzo często bez drzew łysinami świecące?... Pozostaje wązki skrawek pośrodku chodnika, niby deska, po której czapla z bajki wciąż chadza i chadza. A tymczasem władze radzą, jak przy pomocy harcerzów uczyć warszawian chodzenia po chodnikach ulic. Niech same naprzód nauczą się prostego myślenia!

Mógłbym tu jeszcze wysypać dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści różnych zaniedbań i bezmyślności, szpecących stolicę, które bez kosztów, lecz tylko rozsądkiem (tylko!...) usunąć można. Ale już brak mi dziś miejsca na łamach. Wszystkie te sprawy należą do abecadła urbanistyki. Nasze władze obecne umieją (na papierze) poetyzować o wielkiej Warszawie, o linjach średnicowych, o linji N. S., D. P. i B. B. w dalekiej przyszłości, a nie umieją najprostszych na dziś zagadnień grodownictwa rozwiązywać. Żywo przypominają murzyna w cylindrze, fraku i lakierkach, a bez bielizny. Dopóki jednak Warszawa bielizny nie przywdzieje, póty nie będzie miastem o cywilizacji Zachodu, ale jakąś raczej zatraconą Konotopią ukraińską, albo wielkorosyjskim Sierdobskiem, z ich wyjącą melancholją i chandrą beznadziejną.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

ZMARLI

Ś. P. WŁADYSŁAW ORKAN

Z KRAKOWA nadeszła wieść żałobna, że zmarł tam Władysław Orkan (Franciszek Smreczyński). Imię jego i całe życie, z wyjątkiem lat, kiedy się kształcił w Krakowie, związane są z Porębą Wielką w Beskidach (na pograniczu Nowotarszczyzny i pow. Limanowskiego). Urodzony 27 listopada 1876 r. w owej Porębie jako syn gazdy, zanim poszedł do szkoły średniej, pasał gęsi. Po ukończeniu wydziału filozoficznego osiadł przy matce, pracował na roli — i pisał.

Zasłynął poezjami („Życie“) i nowelami (1898). W r. 1910 wydał dwie powieści: „Nad urwiskiem“ i „Komornicy“, ale najwięcej rozgłosu zyskała powieść, będąca jego arcydziełem, „W roztokach“ (1963). Jednocześnie z tą powieścią wydał zbiór poezyj „Z tej smutnej ziemi“ (1963). Dramat Orkana „Skapany świat“ grany był we Lwowie 12 lutego 1902 r. Potem nastąpiły dzieła: „Ofiara, wina i kara“, „Herkules nowożytny“, „Miłość pasterska“ (wszystkie 1905), „Franek Rakoczy“ (1908), „Pomór“ (1910), „Drzewiej“ (1912), „Z martwej roztoki“ (1912), „Wesele Prometeusza“ (1920).

Liryka jego brzmi po Kasprowiczowsku:

Ukochałem lud biedny nad miarę.
Bom się jego pieśnią wykołysał...
Ukochałem zwyczaje i gwarę,
Które dziecko z piersi jegom wyssał.
Co mnie wiąże z ludem jeszcze szczerzej,
Powiem, choć mi wielu wiary nie da:
To niedola, która w nim się szerzy —
Oto wspólna towarzyszka — bieda...

Potrafił swój sentyment ludowy uzasadnić po literacku, bo pisma jego są dokumentami etnograficznemi, i jako publicysta, bo w swoich „Listach ze wsi“ udowodnił głęboką znajomość zagadnień społecznych. O pierwszym tomie tych „Listów“ pisał A. Świętochowski w „Myśli Narodowej“ z r. 1926 (nr. 8), że „należą do najciekawszych i najbardziej pożądanych książek“. Kto chce lud poznać w prawdziwem świetle i ocenić jego wartość narodową musi czytać Orkana.

W r. 1927 Orkan obchodził trzydziestolecie swej pracy pisarskiej. Znakomity organ góralszczyzny, „Wierchy“ Pawlikowskiego poświęciły wtedy swój rocznik Orkanowi, a w dedykacji, oddającej hołd pisarzowi, nazwano go „rozsławicielem estetycznych i etnograficznych wartości naszych gór“. Czytamy tam:

„Działalność Władysława Orkana, o cechach wybitnie regionalnych, osnuła się niemal wyłącznie dookoła pasma Gorców, to zstępując ku osiedlom, na ich zboczach położonym, to ku nowotarskiej dolinie, ku właściwemu Podhalu. Poraz pierwszy w naszej literaturze pojawił się prawie nieznany dotąd, a tak czarowny zakątek Polski, gęstwiną lasów okryta wyniosłość górska, gdzie panuje Turbacz z mnogiemi rozgałęzieniami, skąd jak na dłoni po przeciwnej stronie Nowotarszczyzny widać granitowe wierchy Tatr. Poraz pierwszy miejscowy odłam górali wszedł jako główny czynnik w powieść i dramat. I poraz pierwszy z głęboką znajomością jego życia i obyczajów, z głębokiem współczuciem jego doli zatroszczył się nieodrodny syn tej właśnie pięknej, a tak ubogiej krainy losem i przyszłością rozrzuconych na jałowej glebie i zapomnianych w zapadłym zakątku góralskich wiosek“.

Należy się miejsce poczesne w dziejach literatury pisarzowi, który z literatury nie czynił igraszki, bogacił sztukę, pogłębiając wiedzę życia i dając uczuciom społecznym konkretne oparcie. Z. W.

Ś. P. KS. BISKUP ARKADJUSZ LISIECKI

W CIESZYNIE zmarł nagle biskup djecezji śląskiej ś. p. ks. dr. Arkadjusz Lisiecki. Urodzony w r. 1880, był nietylko zasłużonym kapłanem i gorliwym pasterzem swej djecezji, lecz również znakomitym uczonym, który pozostawił po sobie dzieła trwałej wartości, a mianowicie cenne monografje z dziejów Kościoła w pierwszych wiekach: „Konstantyn Wielki“, „Czasy apostolskie“ i „Czasy męczeństwa Kościoła świętego“.

W r. 1924 ogłosił w „Przeglądzie Homiletycznym“ rozprawę p. t. „Zasady, metoda, technika i plan wydawnictwa Pism Ojców Kościoła“, poczem, na zasadach w tej rozprawie wyłuszczonych, opublikował obszerny tom przekładu „Pism Ojców Apostolskich“ (Poznań, 1924 r.). W roku następnym wydał „Euzebjusza z Cezarei historję kościelną i traktat o męczennikach palestyńskich“.

W 1926 r. opublikował w przekładzie „Justyna Apologję“, i „Djalog z Żydem Tryfonem“. W dziedzinie patrystyki był **w nauce polskiej wybitnym autorytetem.**

OFENSYWA

„NAWRÓCENIE" H. M. MENCKENA

KTOBY się tego był po nim spodziewał?! I to w tak młodym jeszcze wieku? I już taka metamorfoza, takie przejście przez Rubikohn? Już taka kapitulacja?... Obrzydliwe! Obrzydliwe! No, ale trudno... Już się stało i nie odstanie.

Tak się lubiło czytywać i jego i o nim czytywać. Można było dużo, bo Niemcy dość szybko wszystko tłumaczyły. Miał coś ze Słonimskiego w swoim sadyzmie a coś z Pitigrillego, pod względem pikanterji satyrycznej. Właściwie jednak uformował się na wzór Karola Krausa, wydającego swego czasu w Wiedniu *„Fackel"*, w której rżnął biczem ze skorpjonów i wypruwał bebechy wiedeńskiej, w 90 procentach żydowskiej prasy. Ten gatunek semitów, ten ich ostatni model z lat 1920 — 30, nie cofa się i przed napastniczym antysemityzmem *sui generis*, to znaczy wali żydom prawdę prosto w oczy, nienawidząc atoli tych aryjczyków, którzy... pełniejszą prawdę ośmielają się mówić im równocześnie. H. M. Mencken był Karolem Krausem Ameryki powojennej. Kontrolował i inwigilował całą prasę i wyłuskiwał z niej czy wyiskiwał dokumenty gigantycznej głupoty, zabobonu, kołtuństwa, zdziczenia, chamstwa, megalomanji, prostactwa, tępoty, hypokryzji, barbarzyństwa, hurra-szowinizmu, parafjanizmu, kretynizmu i wszystko to kolekcjonował w perjodyku p. t. *„American Mercury"*. Po kilku latach takich kampanij, staczanych z całą żółtą, czerwoną i prowincjonalną prasą, stał się Mencken *„die bestgehasste Biest" of U. S.*, ale równocześnie potęgą polityczną na wielką skalę. Przez okno pisemka Menckena miało się aspekt na formalną przepaść zoologicznej prymitywności i zgoła bydlęcego egoizmu narodu, który prawie rządzi światem. W tem zwierciadle widziało się odbity właściwie wizerunek olbrzymiego goryla. Bezmiar „drańttwa" ludzkiego, ściślej anglosaskiego, zamknięty był w rocznikach *„American Mercury"*. Oczywiście najemne bandy służalców „królów prasy", tych Hearstów, Pulitzerów, Bernsteinów, Ochsów złonęły nienawiścią do małego żydka i obrzucały go takiemi zgniłemi jajami, że z tego znów spryciarz nad spryciarze ułożył sobie cały zielnik, *herbarium* p. t. *„Schimpflexicon"*. Oddawał im jednak pięknem za nadobne, z dużą nadwyżką, wyśmiewając i wyszydzając wszystko, co przeciętnemu Amerykaninowi, przeciętnemu „Babbitowi" jest najdroższe i z czego bywał taki dumny, a więc: Tayloryzm, fordyzm, *efficiency*, *self-improvement*, *scientiphic menagement*, *happy end*, *national prosperity* i to we wszystkiem *first*, we wszystkiem n a j a n a j.— W grupie (dziś już potężnej) n e g a t y w i s t ó w amerykańskich, krytyków całej obyczajowości i całej mentalności amerykańskiej, w tej grupie, gdzie są takie potentaty, jak Dreyser, Woodhouse, Upton Sinclair i Sinclair Lewis, H. L. Mencken był najbardziej zadzierzysty, bezwzględny, nieprzejednany, niepardonujący. Amerykanizm, przepotęga amerykańska, bogactwo, patrjotyzm, imperjalizm amerykański to był *goal*, to był cel, w który wysyłał swoje zatrute strzały... wymysły, inwektywy, impertynencje. Tak było do grudnia 1929. I nagle zmiana, metamorfoza, nawrócenie. Z Szawła robi się Paweł, z pacyfistycznego radykała, z rzekomego międzynarodowca, antyyankesa... stuprocentowy hurra-imperjalista. H. L. Mencken występuje z artykułem politycznym, który wywołuje olbrzymią sensację i zdumienie. Mamy go już w polskiem tłumaczeniu łódzkiej „Prawdy". H. L. Mencken nadal wychodzi niby ze swoich przesłanek skrajnego pacyfizmu (*à la* Słonimski), wykazuje bezowocność bo bezbronność Ligi Narodów i innych trybunałów międzynarodowych rozjemczych i jako *panremedium* na furję zbrojeniową wszystkich narodów podaje co następuje:

„Z należnym respektem pozwalam sobie zaproponować nową edycję *Pax Romana*. Był on tak prosty, jak pył z drogi, a mimo to przez długie wieki działał skutecznie i w sposób prawie że doskonały. Zasada jego była następująca: Potęga, która zdołała silniej i lepiej się uzbroić, niż inne, zabroniła pozostałym prowadzenia wojen... Obchodziło się bez wszelkich przygotowawczych rokowań, nie trzeba było zwoływać żadnych sprzymierzonych. Owa jedna potęga badała daną sprawę, ogłaszała wyrok i wykonywała go. Czy taki system byłby dzisiaj możliwym? Bezwątpienia... Wszystkie inne plany prowadzą przecież do tego samego celu, wadą ich jest tylko, że są jedynie drogami do niego. Jednak, gdzie szukać tej jednej największej potęgi? Ona już istnieje — są nią S t a n y Z j e d n o c z o n e. Pomiędzy współczesnemi wielkiemi mocarstwami jedynie Stany Zjednoczone są tak silne, by z każdym się zmierzyć. Mają potrzebne pieniądze, potrzebne materjały i mają ludzi. Gdyby zdecydowały się jutro podrzeć wszystkie istniejące traktaty pokojowe i umowy rozbrojeniowe, a natomiast wybudować flotę wojenną tak potężną, by była w stanie zapanować nad światem, w ciągu trzech lat cała rzecz byłaby zrobiona. Anglja nie potrafiłaby długo dotrzymać kroku, a inni wogóle nie zaczynaliby takiego wyścigu. Pod opieką takiej floty w połączeniu z odpowiednią flotą powietrzną i niezbyt wielką armją lądową na tyłach, zapanowałby na świecie gwarantowany trwały pokój. Koszta ewentualnego oporu byłyby rujnujące. Raczej opłaciłoby się wszystkim narodom rozbroić się. A narody, tak jak pojedyńcze indywidua, robią zwykle cnotę z wszystkiego, co się opłaca".

Powtórzmy: r o b i ą z w y k l e c n o t ę z w s z y s t k i e g o, c o s i ę o p ł a c a... Oto w tem zdaniu, zdaje się, cięty i wojowniczy polemista zdradził tajemnicę swej metamorfozy. Ale w tem też jest kwintesencja semickiego, materjalistycznego światopoglądu. Przepotęga Stanów Zjednoczonych jednak w końcu go „przekonała", jednak mu wreszcie zaimponowała. Wcześnie poszedł do Canossy Złotego Cielca. Upton Sinclair, aryjczyk, nadal mieszka na banicji, daleko, w Tasadena (Kalifornji) i wierzy swym ideałom ultra-radykalnym, wali w *Dollarica* bombami powieści (Dżungla, Petroleum, Metropolis, Wekslarze), a miesięcznikowi, w którym drukuje powieści *(The Bookman)* kartel fabrykantów papieru odmówił dostarczania papieru!... Ten nadal został nieugięty. Semici atoli pod względem stałości i trwałości zasad bywają stale bardzo wątpliwi i elastyczni, zawsze skłonni do uwielbiania każdego sukcesu, każdego powodzenia, każdej potęgi tak finansowej jak fizycznej, nawet i militarnej. Nie należy nigdy zbyt łudzić się ich teatralnie demonstrowanym liberalizmem, tolerantyzmem, radykalizmem. O ile akcje i papiery *demosu* (ludu) idą w modę, to awangardują demokracji. Ale o ile Cezar i cezaryzm idzie w górę na giełdach, to są nawet i ci sami za cezaryzmem.

A u nas?

Stanisław Mendelsohn z założyciela P. P. S. zamienił się w konserwatystę i korespondenta „Czasu". Esdek Gliewitz w Gliwica—konserwatystę. Kto to zaś stanął w listopadzie r. 1918, a potem w maju r. 1926, odrazu po stronie „zwycięzcy" i „zwycięzców"? Oto ci sami, którzy owacyjnie witali 5 sierpnia wchodzące do Warszawy i „wyzwalające" bataljony pruskie. A kto przez ostatnie cztery lata w publicystyce podtrzymywał ideowo najżarliwiej *regime* bądź co bądź dyktatorjalny i oparty na militarnej i policyjnej przewadze? Oto, jak zawsze, czciciele każdorazowej Mocy, *Machtanbeter*, w deklamacjach zawsze rewolucjoniści, w realizacjach praktyczni, akomodujący się, ba nawet ultralojalni, oczywiście pod jednym tylko warunkiem, że Cezar nic nie będzie miał w sobie z... Tytusa, nic z... Hamana, nic z.. Holofernesa. Możemy tu wyrecytować szereg nazwisk, dla zwrócenia uwagi na to, na jakiej to właściwej Pierwszej Brygadzie opierała się przez cztery lata Imperatrica „Sanacja": Aszkenazy, Asch, Arnsteinowa, Bader, Breiter, Benedict, Cuckerman, Eiger, Eile, Grosstern, Gwiazdowski, Gliwitz, Grosglik, Hertz, Hausner, Handelsmany, Hirschhorn, Hirschband, Jampolski, Kapellner, Kanarek, H. Kohn, Krakowski, Klingsland, Landau, R. Lebenbaum, „Lasota", Mühlstein, Maiblum, Menkes-Merwin, Menkes-Mecnarowski, Marmurek, Neubaum, Nussbaum I, II, III, Nagler, Neuman, Oryng, Parnes, Przedecki, Rubel, Reich, Siehman, Sachs, Stieglitz, Sokołow, Toeplitz, Tuchendler, Wirtemberg, Wasserzug, Wiesenberg (Orski), no i jeszcze moc innych. Oto jest pierwsza Brygada publicystyczna Judosłowian, bez których o żadnym dyktatury, może nie zwycięstwie ale dłuższem, prolongowanem istnieniu w Polsce nie byłoby mowy. Dodaćby tu trzeba jeszcze artystów entuzjastów: Szyk, Olga Niewska, dodać semisemitów *a la* Kaden, dodać z zagranicy wielbicieli: prof. Pinkus z Londynu, Maurois, E. Ludwig, Albert Londres, senator de Monzie, Rivet, francuski Hertz i t. p.

Same „nawrócone" Menckeny.

To trzeba sobie dobrze w pamięci zakarbować.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

W sanacyjnym miesięczniku „Droga" (nr. 4) p. Kazimierz Zakrzewski krytykuje „niehistoryczny" sposób ujmowania zagadnień życia narodowego przez obóz narodowy, czego „sztandarowym przykładem" jest — jak twierdzi — antysemityzm. „Historyczne" natomiast pojmowanie narodu „w całości reprezentuje obóz rewolucji majowej", nie odróżniający w swych koncepcjach ustrojowych Polaka od żyda i zastępujący ich jednem, wspólnem, „państwowem" pojęciem... „obywatela"...

Ciężka to i niewdzięczna służba: wysilanie się na „tworzenie" ideologji narodowej, skoro, w kwestji żydowskiej zwłaszcza, człowiek zgóry wyrzekł się swobody odstąpienia chociażby na krok jeden od obowiązującej masońskiej ortodoksji... „Sanacja" wymaga od swoich „ideologów" nielada ofiary: nieustannego wystawiania się na śmieszność...

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 12-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Tel. 19-57. Zielna 47. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.